ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N—R 2 ROK VII | 15 STYCZNIA 1927 ROKU

CARNEVAL

ŚWIEGOCĄ flety, zawodzą czele, stukają bębny, szumią rozpalone pasaże skrzypiec, rozpływają się w przenikliwych akcentach saksofonów — w krzyku trąb — w spłoszonych dygotach tamburina — fortepianowe tryle.

Carneva-al!!

Wszystko i wszytskich zobaczymy dzisiaj przez niebieską gazę upojenia.

Na parę nocy zmartwychwstaną wyszminkowane arlekiny i różowe błazny, koronkowe — w białych krezach — pierroty i poliszynele, Kolombiny, domina i naiwne pasterki.

Pod marmurową kolumnadą przesunie się giętka, złotoruda Lukrecja Borgia. — Z tłumu wypłynie uśmiechnięty Baltazarini, nadworny organizator baletów Katarzyny de Medicis — da znak —

i rozpocznie się:

Carneva-al!!

Zobaczymy rozpustnych dworzan i najpiękniejsze kobiety, o ustach koloru dojrzałego granatu — a Ludwik XIII skomponuje nam muzykę do baletu.

Wyczarujemy widowisko, jakiego nie znała historja; zaprosimy wszystkie rasy i narodowości.

Zmartwychwstaną staroegipskie tancerki z płaskorzeźb, greckie z polichromowanych posążków terrakotowych i rzymskie z pompejańskich fresków.

Ożyją tancerze z japońskich drzeworytów, — opuszczą złocone, owalne ramy baletnice Degasa, Watteau i Franciszka Stucka.

Jakiś mądry, wyrafinowany reżyser pokaże nam „Taniec wiosenny“ Boecklina i jego „Tańczące dzieci“, a na estradzie wystąpi król słońca, Ludwik XIV, w balecie „Flora“.

Genjalny dekorator wyczaruje nam salę „weneckiego ridotto“ i zobaczymy jakąś scenę z „Carneval de Venise“ — scenę, która się przesunie przed nami, jak niepokojący, dziwny persyflaż.

Jakaś tancerka porwie nas wyrafinowaniem mimiki i ruchów i dopiero po chwili poznamy, że jest to Ludwik Beauchamps, ulubiony tancmistrz Ludwika XIV — przebrany za kobietę.

Wszystko w tym karnawale będzie oryginalne i nieprzeciętne. Przebrane księżniczki będą mieć prawdziwe perły i topazy, suknie z najdroższej lamy, adamaszków i brokatu.

Przesuną się przed nami najsłynniejsi tancerze: Pecour, Marcel i Dupré — zadziwią nas: w zielonych gazach panna Sallé, Anna de Camargo i Izadora Duncan.

Wszyscy spotkają się na olbrzymiej sali, ubranej sznurami żywych kwiatów — pod stropem, ozdobionym błękitnością fresków.

Uśmiechnięty Baltazarini da znak — i zmieszają się trubadurzy, bachantki, fauny, pazie i skwaterzy, kapitanowie marynarki, westalki, markizy i woltyżerki.

W zalewie różnokolorowych reflektorów zatańczą maski i kostjumy, pióra i kapelusze, zatańczą ręce, nogi — oczy i usta także zatańczą.

Lekkie, uśmiechnięte, atłasowe menuety, staroświeckie kuranty, polonezy szumne, posuwiste, gawoty kunsztowne i kontredansy, pawany i galardy, bretońskie „passepieds“.

Przy drzwiach szerokich i złoconych rozstąpi się tłum masek i wejdzie przebrany dwór Napoleona III. Damy i kawalerowie zatańczą „lancier'a“.

Carneval!! Carneval!!

Owiana różową morą wstążek Anna Slezak — zatańczy w swawolnem tempie polkę, zachwycimy się groteskowością cake-walk i rozpasaniem dzikiego cancana, czardaszem i hiszpańskim tańcem ludowym.

Po północy podamy sobie ręce i zawirujemy w szalonej galopadzie, jak cienie i jak zjawy z rysunków Gavarniego.

A potem boston, step, shimmy, fox-trott i charleston.

Zatańczą prawdziwi murzyni z kabaretów w Buenos-Aires, prześlizną się wśród tłumu rosyjskie baletnice.

I znów Chińczycy, bronzowe amazonki, o farbowanych dziąsłach Arabki, w białych turbanach Beduini — wszyscy są — mozartowscy Don Juani i Damy Kameljowe, w winogradowe przystrojony wieńce Bachus — i Pulcinelle, akrobaci, zaklinacze węży i małe, smutne gejsze, — sprzęgli się z sobą — i w różnokolorowych maskach płyną, wirują, przeginają się, skaczą — kłaniają.

Szumi jazz-band niespokojnie, drapieżnie, krzykliwie —

Białkami podłużnych, czarnych oczu błyskają upojone wirem Hinduski i Metyski.

Pachnie „Heliotrop“, „Chypre“, „Un peu d'ambre“ i „Dame en noir“, pachnie „Mon boudoir“ i biały bez.

A na podwyższeniu — stoi w dziwacznym czerwonym fraku reżyser — ma orchideję rozkwitniętą w butonierce — głęboki, niezmierzony smutek w orzechowych oczach — a usta wykrzykują głośno, głośno:

— Carneva-al!!

— Carneva-al!!!

Kazimiera Alberti

KILKA SŁÓW O MĘSKIEJ MODZIE

W OKRESIE, w którym kobieta traci tak wiele czasu, sił i myśli na zabiegi około swej zewnętrzności, w okresie, w którym zbytek przestał być uważanym za grzech, a przeciwnie zdobycie jego uważane jest prawie za cel życia, moda męska nie mogła pozostać wtyle, lecz idąc za hasłem czasu, stała się prawie że tak różnorodna, zmienna i zbytkowna jak moda kobieca. Rzućmy okiem na garderobę eleganckiego paryżanina, a przekonamy się o tem niebawem, chociaż nie Paryż a raczej Londyn jest stolicą mody męskiej.

Już sama poranna tualeta eleganckiego młodzieńca pozwala mu na namysł, bo oto ma do wyboru, zrzuciwszy nocną piżamę z jedwabiu, zefiru lub flaneli, strojną piżamę z satyny lub grubego jedwabiu z nieco dłuższą bluzą i paskiem, szlafrok jedwabny lub flanelowy, lub też do spodni, zamiast marynarki, zarzucić może kurtkę domową z sukna lub jedwabiu.

Trudniejsza jest decyzja przed szafą z ubraniami, gdy elegant zdecydować się ma, jakie ubranie wybrać: czy z marynarką równą o jednym, czy też o dwuch lub trzech guzikach. Wszystkie trzy są noszone, jednak przewagę mają ubrania o trzech guzikach, z których pierwszy nie jest zapięty. Ale można także ubrać jedno z ubrań o dwóch rzędach guzików, owo klasyczne ubranie o 6 guzikach, bardziej amerykańskie o czterech, lub najnowsze o dwóch guzikach, nadające młodzieńczą linję.

I chociaż wszystkie te marynarki mają na celu wydłużenie figury i są, aby to osiągnąć, długie i nieco wcięte w pasie, i chociaż wszystkie spodnie do nich są równe i dość krótkie, to jednak różnorodność ich jest dość znaczna, a powiększa ją jeszcze wielorakość materjałów. Tak zwane angielskie materjały o różnych odcieniach — szarych, zielonawych, brunatnych, ustępują powoli miejsca jednokolorowym materjałom, ale nie znikną zapewne nigdy całkowicie, chociażby ze względu na swą praktyczność. Szczególnie do ubrań sportowych, albo przypominających je przez kieszenie naszywane i mały paseczek ztyłu, materjały te zachowały swe znaczenie.

Ubrania sportowe, a raczej kostjumy sportowe, we Francji nie uległy zmianie. Szerokie i nawpół długie spodnie sportowe dżentelmanów amerykańskich nie przyjęły się tutaj. Wielką różnorodność widać tylko w płaszczach sportowych, a raczej automobilowych ze skóry i futra. Płaszcze te są przeważnie bardzo szerokie i ciepłe. Również na ulicę noszą panowie raglany, ale modniejsze są palta zlekka wcięte, nieco dłuższe, niż dawniej.

Na wizytę paryżanin udaje się przeważnie w żakiecie, mało różniącym się od dawniej noszonych, do którego spodnie są przeważnie w paski czarne z białem lub szarem, a kamizelka bądź w kolorze żakietu, bądź z białego, szarego lub popielatego sukna. Jeszcze bardziej ceremonjalny jest surdut, bardzo mało zresztą noszony.

Do teatru we Francji panowie noszą przeważnie smokingi, które coraz bardziej wypierają frak, noszony prawie wyłącznie z okazji wielkich ceremonij. I frak i smoking różni się od dawnych fraków i smokingów głównie materjałem, który nie jest obecnie gładki, lecz przypomina szewiot. Spodnie jednego i drugiego mają jedwabne mocno błyszczące wypustki. Do smokingu nosi się nadal białą jedwabną kamizelkę. Zapinany jest przeważnie na jeden guzik i zlekka wcięty. Krawatka pozostała do smokinga czarna, do fraka — biała. Do fraka w dalszym ciągu sztywny biały gors, do smokinga — pikowy.

Jednak bielizna męska uległa największym może zmianom. Już nie tylko pani nosi jedwabie. Jedwabne koszule męskie przestały być rzadkością. Jedwabne skarpetki, obecnie przeważnie w kratkę, są dla eleganta nieodzowne. Przody, które przeszły całą gamę kolorów i deseni, znów noszone są białe, ale wyłącznie jedwabne.

Kapelusze męskie, do których przez tak długi czas panie starały się jakoby dostosować swoje filcowe kapelusiki, dziś — zdawaćby się mogło — zbliżają się powolutku do damskich kapelusików. Są one przeważnie z miękkiego, jasnego filcu i brzegi ich niczem nie są zakończone. Czarny miękki kapelusz nosi się wyłącznie prawie do smokinga. Cylinder — do żakietu i fraka.

Rękawiczki męskie na ulicę wciąż nadal noszone są z grubej skóry czerwono-brunatnej lub z jasnej skóry szwedzkiej, ale coraz bardziej rozpowszechniający się sport automobilowy spowodował modę wielkich ciepłych rękawic na futrze.

Bezbrzeżny zbytek panuje w dziedzinie akcesorjów mody męskiej, w dziedzinie kufrów, walizek, portfeli, papierośnic, ustników i t. d. I może w tej właśnie dziedzinie najbardziej zbliżają się ku sobie dążenia kobiety po sportowych i wogóle męskich przedmiotów i dążenia mężczyzny do damskich gratów i gracików. *Zofja Kramsztyk* (Paryż)





USMIECH

NIE o tym uśmiechu myślę, który drży przewrotnie na twych ustach — tłusty i lepki od jaskrawej szminki, gdy tańczysz z twym partnerem charlestona, gdy idziesz ulicą wśród tłumu mężczyzn, demonstrując im wspaniałomyślnie wiązania twych kolan, lub gdy w palarni teatru, czy kabaretu żonglujesz z poza dymu z papierosa ukośnem spojrzeniem zalotnicy, czy drapieżnym błyskiem zębów.

Ten uśmiech ekspresywny, uśmiech wykradziony kurtyzanom Ropsa, jest tak brzydki, że najchętniej starłabym ci go z ust wraz z bezczelnym karminem, którym mistrze sekretnej alchemji — Houbigant, Cheramy, czy Bourjois licho i naiwnie imitują bezcenną purpurę żywej, tętniącej krwi.

I wyczarowałabym ci na ustach inny uśmiech — prześliczny i łagodny, cały prześwietlony dobrocią i taki przecudnie, przecudnie kobiecy... Ale uśmiech taki płynie z serca, z jego czerwonej, gorącej czary, a gdzież jest twe serce, powojenna panno, czy pani Orchideo? Czyś je zgubiła w szalonej galopadzie twego życia z dnia na dzień, życia bez jutra, życia nocnej ćmy, opalającej sobie mdlejące ze znużenia skrzydła o elektryczne słońca balowych sal i ogłuszonej piekielnym wrzaskiem i dzikim zgiełkiem jazz-bandu?

Rozmieniłaś je na nędzną, drobną monetę miłostek i namiętnostek, flirtów bez finału i amuretek bez prologu. I pod twą zwiewną kombinacją z crêpe de Chine'y (kupioną kosztem nie jedzonych przez trzy tygodnie obiadów) bije już nie serce — szkarłatna czara natchnień, porywów, tęsknot i szaleństw, ale zwykły, brzydki, miarowo kurczący się mięsień, z którego uleciała poezja uczucia, jak zapach z pustego flakonu. (Pamiętasz słowa Villiers de l'Isle'a: „Zwiędłe gruczoły, które przez resztkę czułostkowości zwiecie waszemi sercami?“)

Uśmiechasz się tylko do mężczyzn. Jak kurtyzana Ropsa... Twój uśmiech jest nawskroś seksualny, jak linja twojej już od tylu lat „rozebranej“ sylwetki, jak rytm wyuzdanego tańca ze spelunek Singapore, czy Bombayu, w którym oddajesz się bez zastrzeżeń pierwszemu lepszemu Pochroniowi w smokingu, byleby tylko był zwinny i giętki w *el passeo*, czy miotał tobą, jak huragan źdźbłem słomy, w epileptycznych drgawkach charlestona.

Ale jakże odrażająca jesteś w domu wobec męża, który się nudzi śmiertelnie tylko dlatego, że jest twoim właśnie mężem, wobec służby pękającej ze śmiechu za twemi plecami, gdy w dzikobarwnych pyjamach, z nieogolonym, szczeciniastym, jak policzek niechluja, karkiem i z kauczukową „maską piękności“ na wysmarowanej Tokalonem twarzy straszysz własne, uciekające przed tobą w panice dzieci...

Jakże jesteś brutalna i antypatycznie niemiła w biurach i okienkach pocztowych urzędów, gdy siwa, biednie ubrana staruszka prosi cię pokornie o jakąś informację, podczas gdy za jej plecami zgarbionemi, w wytartym, lichym płaszczyku, elegancki, upudrowany pan w modnem futrze ocenia wzrokiem znawcy zawartość twego jumpra i linję twych ukarminowanych warg... Jakże jesteś potwornie i cynicznie szczera, rzucając ubogiej staruszce bylejaką szorstką odpowiedź, by w sekundę później posłać wytwornemu panu najczarowniejszy uśmiech, spleciony ze stu obietnic, stu słodkich niedomówień i kokieteryjnego błysku złotej korony...

— — — — — — — — — — — — —

Żal mi cię, nowoczesna pani, uśmiechająca się wyłącznie do mężczyzn. Zapomniałaś bowiem, że uśmiech, nie ten Ropsowski, ale ten prześliczny, miękki kobiecy uśmiech, uchwycony tak mistrzowsko w główkach Stachiewicza, jest ozdobą stokroć piękniejszą, niż hotentocki naszyjnik z jaskrawych szkieł, albo modny kapelusz podobny do cylindra pradziadka, który (cylinder, oczywiście, nie pradziadek) dostał się pod koła pociągu ekspresowego i okropnie zmiętoszony wrócił na głowę dzisiejszej elegantki.

Uśmiech taki czyni z kobiety pięknej — bóstwo, a z kobiety nieładnej — piękność. Jest jak odblask zorzy, padający na marmur posągu. Jak pewna róża przecudna koloru jutrzenki, nazywająca się *Lyon d'Or*. Rozjaśnia życie, jak czarodziejska lampa z bajki, codziennym powszednim zdarzeniom nadaje wdzięk poezji i czar zdarzeń radosnych. Ubóstwo zamienia w przepych, a przepychowi odejmuje chłód, wiejący od marmurów, złota i kryształów.

— — — — — — — — — — — — —

Pamiętam przed laty Londyn, tonący w październikowej mgle, podobny raczej we wspomnieniu do bladej, zatartej wizji Whistlera, do snu utkanego ze srebrnego dymu i zdławionych, dalekich świateł.

Na moście — żebrak. Nic z teatralnej pozy, z jarmarcznej, krzykliwej reklamy, do której często ucieka się nędza z konieczności, czy z wyrachowania. Apatyczny, obojętny wzrok pusty i daleki, w zziębłej ręce staroświecki kapelusz. Białe włosy rozwiewa morderczo zimny, trupi jakiś wiew z Tamizy.

I nagle zadzwonił śpieszny rytm młodych, radosnych kroków. Z mgły wyłoniła się taka wiośniana, taka urocza, młoda dziewczyna angielska. (Czyż jest coś cudowniejszego na świecie, jak młoda dziewczyna angielska?) Przystanęła, spojrzała na starca dużemi ślicznemi oczami, które może były fiołkowe, może szare, albo niebieskie. Szukała długo w zniszczonej portmonetce i z trudem znalazła jakiś malutki pieniążek. Było jej wstyd dać temu milczącemu starcowi jałmużnę tak nędzną, ale naprawdę w ubogiej portmonetce nie było nic więcej. Więc trochę nieśmiało wrzuciła żebrakowi do kapelusza swój grosik, powiedziała coś cicho, czego nie dosłyszałam, i — uśmiechnęła się...

Ile nieopisanej słodyczy, cichej pokory i czarującej dobroci wplotło się w ten uśmiech niezapomniany, w ten uśmiech proszący o przebaczenie, a będący darem bezcennym, wydartym z samego dna dziewczęcego, pełnego miłosierdzia serca...

I ile razy widzę na setkach ust moich rodaczek zalotny, wykarminowany uśmiech pod adresem mężczyzny, a grymas szorstkiego zniecierpliwienia, rzucony w przestraszoną twarz cicho o coś proszącej, biednie ubranej staruszki, marzy mi się zawsze przez srebrne mgły londyńskie, przez tęczowe roztocza zdławionych nad Tamizą świateł wieczornych tamten uśmiech czarowny i świetlisty, pełen niewymownej czułości i litosnej dobroci. *H. Filochowska* (Warszawa)



Oto mój cały...

Oto mój cały warsztat, strzęp papieru
I zamyślony w palcach mych ołówek
Majsterstwo w sztuce, równe prawie zeru
I ten okropny myśli mej przednówek.

A za to serca ogień nieostygły
I zadyszanych tęsknot pogoń wieczna
Wspinanie się na niedostępne igły
I duma, lękiem wiecznym obosieczna.

Zdzisław Małaczyński

WIELKA ARTYSTKA

Wywiad „Świata Kobiecego" z Ireną Solską

WIELKA artystka. — Jakaż jest inna od tej plejady teatralnych gwiazd, spotykanych w „Małej Ziemiańskiej" i na modnych dancingach w „Astorji". — Nie ma w sobie nic z ich szablonowej elegancji, kokieterji i dezynwoltury. — Jest poważna, skupiona, stylowa. — Długo i czujnie umie patrzeć w oczy — i wtedy — jestem tego pewna — sięga głębiej, niż się ktoś spodziewa może. — Kiedy mówi: „Ja — ze swoją brzydotą" — — — patrzę na nią, — na jej miedziane, o rozpalonym błysku włosy — i uśmiecham się.

Irena Solska — nie ma obciętych włosów, nie używa szminki, nie nosi króciutkich sukienek, a mimo to — uwierzcie — nie jest „niemodna".

Sylwetka jej nie przypomina żadnej modnisi, ubranej u mistrza Poiret. A jednak jej „linja" — mimo długiej dość sukni (w okresie kiedy zakryte kolano jest pewnego rodzaju szokingiem — Solska nie obawia się tego), mimo luźnie opadających fałdów, sylwetka jej ma wyraz zupełnej współczesności. — Zdawałoby się, że pewien charakter klasycznego antyku nie da się pogodzić z wymaganiami współczesności, — że jest to paradoks! — a jednak Solska te dwa kontrasty umiała harmonijnie ze sobą związać.

Przyjmuje mnie zawsze w złoto-różowem świetle lampki — godzinami rozmawiamy.

— Kiedy pani po raz pierwszy zamarzyła o scenie?

— Gdy miałam lat... dwanaście. Miałam wtedy — dosłownie — swój własny, przeze mnie stworzony teatr. Dekoracje, malowane na kawałkach płótna, były moją dumą, jak również kostjum francuski, uszyty ze starych firanek, znalezionych gdzieś na strychu. Grałam rolę starej panny. Udała się mi doskonale. Niestety — teatr dziecinnych uniesień, pełen dziwacznych, zaklętych królewien i starych panien — rozwiał się!!

— Każdemu z nas rozwiewa się taki dziecinny, zaczarowany teatr.

— Mając lat czternaście, deklamowałam na pensji „Skąpego Rycerza" Puszkina.

Solska przymyka oczy.

— Tak. To była moja pierwsza chwila zapomnienia, chwila zupełnego odejścia od świata, od siebie samej — odejścia w jakąś głąb nienazwaną, gdzieś bardzo daleko.



Irena Solska w „Nieboskiej Komedji" Krasińskiego

— Czternastoletni świat entuzjastycznych wizyj.

— O tak! To zawsze w życiu decyduje. I u mnie moment ten zadecydował. Mając lat szesnaście — po dwóch miesiącach nauki — u Leszczyńskiego — zadebiutowałam.

— Po dwóch miesiącach nauki?

— Tak. Nie było wtedy jeszcze szkół dramatycznych, w których trzymają po 3 lata i niczego nie uczą... Ale były talenty. Pierwszy mój debiut — to „Hrabia René". Rodzina, która w cichości zjechała, odwiozła mnie do domu. Byłam taka smarkata, że o mało mi skóry nie wygarbowali. Publiczność jednak przyjęła z takim entuzjazmem szesnastoletnią debiutantkę, że już i rodzina zabronić nie mogła. Po tym debiucie Leszczyński umieścił mnie u Pawlikowskiego.

— Proszę coś opowiedzieć o nim.

— Pawlikowski — to był wielki pan, — mówi Solska w zamyśleniu — ale nie dlatego, że matka jego była Dzieduszycka z domu. Był to władca teatru — mówię to — choć pojęcia się zmieniły. Znawca, twórca, artysta! Kto dostał się w jego ręce — pod jego wpływ — stawał się czujnym instrumentem, z którego Pawlikowski wydobyć umiał najgłębiej ukryte, najtajniejsze możliwości artystyczne. Byliśmy wszyscy czułemi narzędziami w jego twórczych rękach. On nas zachęcał, gromił, karcił — dokuczał nam — zrzędził na nas, krzyczał — ale to wszystko miało swój cel: wydobycie jak najistotniejszego wyrazu artystycznego. — Znał nasze wady, umiał je zwalczać. Praca z nim była niesłychanie łatwa. Każde z nas było dla niego otwartą księgą. Pamiętam, przyszłam do niego raz i powiedziałam: „Tej roli zagrać nie potrafię". „Pani nie nie potrafi, ale nie chce" — odpowiedział. Z jego śmiercią straciłam jakby prawo przynależności do sztuki. Raz powiedział mi, że urodziłam się o sto lat za wcześnie. Był to genjalny reżyser. Wszyscy, którzy dzisiaj zasilają teatry i są ich filarami — wyszli z pod jego rąk.

— Czy poza teatrem miała pani jaką inną pasję?

Mocne, czysto dźwięczące skando:

— Nie — nigdy — żadnej. Związać życie z teatrem w nierozerwalny węzeł — oto czego nauczył mnie Solski. Jestem mu za to szalenie wdzięczna. Wychował mnie w miłości do teatru. Ten genjalny pedagog i artysta nigdy — gdy chodziło o sztukę,

o scenę — nie był zmęczony. Tego też wymagał ode mnie i od innych. Pawlikowski i Solski — to są dwa ideały, które teatr z siebie może wydać. Praca u nich wyrabiała w nas jakąś nadzwyczajną zdolność reinkarnowania. Wszyscyśmy byli żołnierzami, którzy się pod ich władzę podporządkowywali. Nie było mowy o tem, żeby ktoś z nas liczył godziny prób, — jak to się teraz dzieje — albo powiedział, że nie opanuje roli w jakimś zawrotnie krótkim czasie. Aktor dostawał 2—3 role miesięcznie i to z wielkiego repertuaru — a nie 2—3 do roku jak teraz. Inaczej się pracowało. Nie było czasu chodzić na dancingi. Ale był to też okres rozkwitu polskiego teatru.

— Czy prócz tej chwili „odejścia od świata" wtedy, gdy pani miała 14 lat — deklamując Puszkina — również i potem kiedyś przeżywała pani podobne wrażenia?

— O tak. Raz, pamiętam, grałam zupełnie nieprzytomnie. Pawlikowski zażądał ode mnie, abym w przeciągu 4 dni nauczyła się roli Sobejdy w „Weselu Sobejdy" Hoffmanstahla. Prócz tego, sama przygotowywałam kostjum. W dzień premjery byłam prawie nieprzytomna, — wyszłam na scenę z tak skomplikowanem uczuciem, że nigdy potem nie mogłam sobie z niego zdać sprawy. Po premjerze dowiedziałam się, że Pawlikowski zrobił to celowo, aby wydobyć ze mnie najgłębszy, najistotniejszy wyraz.

— Dzisiaj, czy takim niesamowitym transom artyści podlegają?

— Wątpię — skanduje wolno Solska. — Niedawno gdzieś czytałam, że publiczność nie reaguje na wrażenia, które odbiera. Fałsz. Jest tu wina aktora, nie publiczności, — gdyż aktor tych wrażeń silnych wcale teraz nie daje. Przychodzi na scenę, jak urzędnik do biura — kończy pracę i wraca do domu. A ja u c z y ł a m s i ę t e a t r u w jego rozkwicie. Dopuszczono mnie do wielkiego ołtarza — i może dlatego teraz bez żalu czasami grywam w... „Teatrze Fredry". Mówią, że wspomnienia zabijają twórczość, moje mogą ją tylko podtrzymać. Nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa, czuję w sobie pełnię sił i choć dyrektorzy teatrów zapomnieli o mnie — wiem — że ludzie pamiętają.

— Dlaczego pani dłużej nie została za granicą?

— Przed samą wojną byłam na studjach w Berlinie, pod artystyczną opieką dyr. Lessing teatru. Miałam zapewnione występy w Berlinie, w Ameryce. Niestety, Haneczka zachorowała — musiałam wracać do kraju. — W tym okresie kradłam już tylko losowi chwile dla teatru. Gdy mi bardzo źle było — urządzałam z góralami przedstawienia w Zakopanem. Tak grałam — „Siostrę Beatriks" Maeterlincka.

— Czy miała pani w życiu rolę — w której wypowiedziała się cała pani dusza.

W spojrzeniu Solskiej zataił się dziwny smutek.

— Takiej roli nie miałam, mimo że pisali dla mnie sztuki Żuławski, Staff. Grałam — o ile tak można powiedzieć — „kawałkami duszy". Nigdy nie wydobyłam wszystkich artystycznych możliwości. O takiej roli „zupełnej" marzę.

— A czy w ogólności teatr dał pani pełnię wrażeń — czy zaspokoił pani artystyczny temperament?

— O tak! Mimo, że to wszystko było połączone z tysiącem wyrzeczeń. Mojego „teatru", tego co w nim przeżyłam, nie oddałabym zanic!! Wszystko co było ciekawe — umiałam odszukać, — zdobyć — i być tego blisko.

Często obie stajemy przed portretem matki Ireny Solskiej. Solska podchodzi bliżej, ja staję zboku i patrzę na te wielkie dwie artystki. Jedną — w okolu siwych włosów na portrecie, wielką malarkę, pionierkę sztuki dekoracyjnej w Polsce, odznaczoną paroma medalami zasługi, na artystkę, przed którą swego czasu wszystkie salony europejskich wystaw stały otworem — i na jej córkę — zapatrzoną w nią oczami pełnemi uwielbienia.

— Warszawa tak szybko zapomina, — spadają cichutkie słowa pani Ireny — a przecież kiedyś wszystko, co było najciekawszego i najlepszego w Warszawie, gromadziło się na przyjęciach w salonach mojej matki. Malarstwo! To jest sztuka, która zostawia ślad po sobie — świadczy o duszy i talencie człowieka — a mój zawód? Z ostatniem wypowiedzianem słowem ginie sława i pamięć. — Cóż mój zawód?

Te słowa — jakby mówione już nie do mnie, ale do tej kobiety o siwych włosach z portretu.

— Gdyby Warszawa pamiętała, kim była moja matka, którą tak uwielbiam. — — —

Arnika

KRÓLESTWO WRÓŻKI ESTERELI

III. Listy z Prowancji

ŁUKIEM z hymnologji starochrześcijańskiej wychodząc i wracając do niej franciszkańską poezją, śpiewa w służbie najwyższego ideału i doskonałości poezja trubadurów. Esterelą jest dla nich „w i e d z a r a d o s n a".

„Joia" to radość, „joia" to miłość najczystsza, „joia" to wiedza głęboka o całym wszechświecie. I rozbiegają się po wszystkich drogach świata, opętani poezją, za ideałem goniąc, trubadurowie i żonglerzy, rybałci słoneczni, wznosząc się na szczyty i staczając w otchłanie upadku, wielcy lub śmieszni, rycerze błędni wróżki, ucząc świat wiedzy radosnej, budząc tęsknoty i niepokoje.

Oto przedewszystkiem dwóch, których żywoty odtwarzają tę wieczną za ideałem tęsknotę i gonitwę.

J. R u d e l, rozkochany w „księżniczce zoddali". Od chwili, gdy ujrzał jej portret, nie dozna spokoju ni ciszy, przez morza ku niej dąży do Tripolis, lecz przybywa schorzały z tęsknoty, oślepły, głuchy. Wzruszona, przybiega ku niemu księżniczka Melissenda i w ramionach ukochanej kończy życie poeta, odzyskawszy siłą miłości wzrok, by ją oglądać, i słuch, by głosu jej słuchać. „Księżniczka zoddali" zamyka się w mury klasztoru. Śpiewali tę pieśń tęsknoty na rozmaite tony poeci wieków wszystkich: Petrarka, Carducci, Swinburn, Heine, Uhland i Rostand.

P e i r e V i d a l, syn Tuluzy czerwonej, z wyboru syn Prowancji, rozkosznej Vence, tłucze się po świecie i rozbija o własne szaleństwa. Czy to w postaci wilka zakrada się pod okna umiłowanej księżniczki przez psy poturbowany, czy z żałoby po przyjacielu wszystkim psom w mieście uszy i ogony obcina, czy po Włoszech i całem Śródziemnomorzu, aż pod Konstantynopol się włóczy, na Cyprze Greczynkę poślubia i wierząc, że poślubił siostrzenicę cesarza Bizancjum do korony cesarskiej pretenduje, wierzy zawsze, że wszystkie jego pragnienia spełnić się muszą, że sny jego są jawą. Buduje więc okręty na wyprawę po cesarstwo, sprzymierzeńców jedna i w pogoni za nimi aż na dwór węgierski zabłądzi, skąd księżniczki jego „wiedzę radosną" aż za Karpaty, ku Polsce poniosą. Wszędzie zaraża ludy i kraje swem szaleństwem, aż umrze w papierowej złotej koronie, pieszcząc się tytułem cesarza, przekonany, że sen jego był prawdą. — Widzimy, że zwodnicza, niewyczerpana wróżka wprowadziła tu element nowy: Wschód.

Nie był to element Prowancji obcy, był on niegdyś jej bardzo bliski ten miraż wschodni, tajemnicą pociągający, zamknięty w warowniach i zamczyskach saraceńskich IX i X wieku. Zdawałoby się, że od czasu gdy w legendzie wiatr Sahary złożył pod „Żelaznym krzyżem" w Hiéres saraceńską królewnę, która się wiary swej wyrzekła, wróżka jakby dwa oblicza przybrała. Jednem nęciła Saracenów ku wybrzeżom i samotniom Prowancji, skąd odgryzali się jak osadzone dziki, drugą ukazywała obrońcom kraju, czy to opatowi Wilhelmowi bijącemu na każdym kawałku wydartej Saracenom ziemi słupy graniczne, czy to Gwilemowi z Baux, ostatniemu pogromcy najeźdźców. A zawsze Wschód czarował jednych tajemnicą nieznanego, niesamowitego, drugich głosem poświęceń dla krzyża.

Teraz po dwu wiekach wezwała Esterela na pomoc Stefanetę z Baux, panią gniazda, gdzie rodziły się „księżniczki z kości słoniowej i złota“, gdzie niepodzielnie panowała Joia, księżna dziwnych przeznaczeń, która wskrzesi i do świetności przywiedzie obrzęd, nie saraceński, nie grecki, jak spierają się uczeni, ale zgoła prawieczny słoneczny obrzęd „laj-konika“ (li frusi), który w Polsce oglądać będzie córka jej, Alais, piastowska księżna śląska. Stefaneta z Baux w przeddzień ruiny ostatecznej swego domu, nie przeczuwając, że gotuje korony wschodu dla wrogów i następców swoich, podniesie sztandar wojen krzyżowych. Rola jej w historji tych wojen nie dość dotąd podkreślona; twierdzą niektórzy patrjoci prowansalscy, że ona to zdołała między innymi przekonać papieża o konieczności nowej karmy ideału dla rycerskich mas, ona porwała za sobą całe południowe rycerstwo. I poszli gromadnie na Wschód z Prowancji. Z ziemi tej wywiódł Gerard de Teuque zakon Joannitów i na skały Prowancji, ziemię świętą najbardziej przypominające, wróciły zakony rycerskie budować swe orle gniazda i koić swą za Wschodem tęsknotę.

Zaczął się długi sen o koronach Konstantynopola i Jerozolimy. Zamki zapatrzone stały we wstęgę „drogi co od wód Rodanu płynie tam, gdzie Neapol lśni we mgłach opali, — gdzie lazur od fal rąbek zaledwie oddziela — i dalej, hen za morza, gdzie w złocie się pali — kopuła świętej Zofji i Grób Zbawiciela“.

I zdawać się będzie Prowancji, że przedmiot tęsknot jakby się przybliżył, gdy w murach Awinionu ujrzy papieską tjarę, i dlatego tak bardzo, wbrew całemu światu, umiłuje tych papieży-więźniów, fundatorów uniwersytetów, budowniczych i pustelników — jak Jan XXII i Benedykt XII; krzewicieli sztuk, otoczonych przepychem i wspaniałością, królów wyobraźni całego ludu, rozszerzających na Grób Chrystusa protektorat Galji, — jak Klemens VI, oczerniony przez boleśnie upokorzonych Niemców, który z przepychu i festynów zstąpić potrafi na dno nędzy ludzkiej, zarazie czoło stawić i gdy wszyscy uciekną, 30.000 trupów na ulicach Awinionu leżeć będzie, otworzy szpitale, odda wszystkie pałace i bogactwa i sam usługiwać chorych i grzebać będzie umarłych.

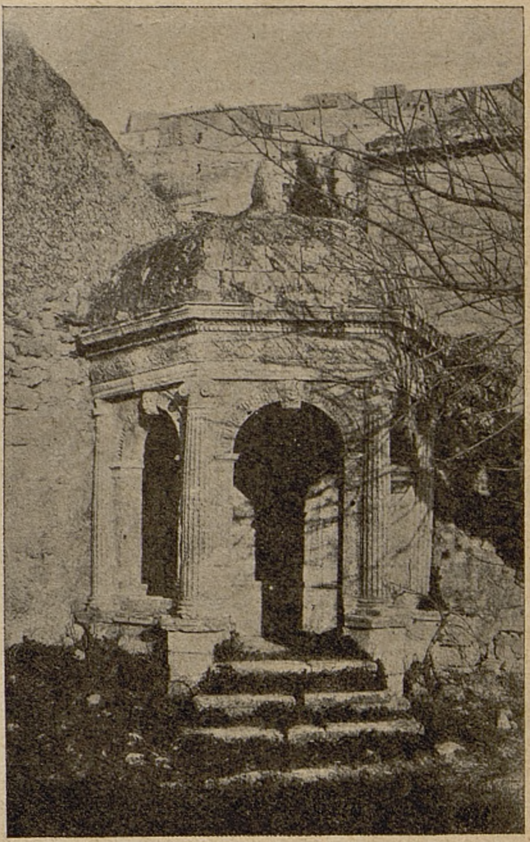
Obok niego na tle awinjońskich murów wykwita postać tragicznej królowej Neapolu Joanny I, którą historja o morderstwo mężów oskarża. Klemens uwalniając królową od zarzutu zbrodni morderstwa męża, Andrzeja Węgierskiego, Ludwikowego brata,



Zamek w Baux

był wyrazicielem przekonania całej Prowancji, która nie wierzyła nigdy w jej winę. Dla ludu Joanna, „Johannela“ była wcieleniem „Joi“ najwyższych ideałów piękna a życie jej nieszczęsną, nieustanną gonitwą za doskonałością i szczęściem. Była to umiłowana pani, sędzia sprawiedliwy, nieszczęsna ofiara losu. Nie zapomni Prowancja ani wizji purpurowych statków pod wyspami Awinionu, ani w złotogłów obleczonej oskarżonej królowej, stąpającej po kwiatach sypanych jej do stóp przez wielbiące tłumy; ani głazu na polach Aix, na którym siadywała by sądzić lud tłumnie do niej, jak do Ludwika św. zbiegły i na przemoc możnych skarżący się ufnie, ani jej sielanki z Ludwikiem Tareckim, którą zwiąże z cudnym pawilonem w Baux — i wbrew historykom i zawistnej famie, do dziś lud za poetą powtarzać będzie „chwała bądź Bogu i królowej Jano“.

Nie uwierzył jej winie i Petrarka, przez dziwne czary wróżki Estereli w cień awiniońskich murów przywołany, przez nią pieśni uczony, gdy mu się w postaci Laury z Nove jako piękno nieziemskie objawiła.



Pawilon królowej Joanny w Baux

A wcześniej jeszcze nie oparł się wołaniu tajemniczemu wróżki i Dante. Dziś obecność w Prowancji autora „Boskiej Komedji“, głoszona przez prof. uniwersytetu grenobelskiego p. Mangin, potwierdza legendę związaną od wieków ze skałami Baux. I pocóż go wróżka wołała? Oto aby mu ukazać w cyrku skalnym, koło zamczyska Stefanety, koło siedliska złotej kozy, obok dawnej świątyni Izydy, pani wiecznych tęsknot, a potem schronienia Trzech Magów, obraz piekła dantejskiego na zawsze w Boskiej opisany.

Trudno mi się rozwodzić nad żywotem fantastycznym i z legendą splecionym Romée de Villeneuve, pielgrzyma z Compostelli, co 4 córki za czterech królów wydał, królestwo przyjacielowi zdobył i utrzymał i w końcu znów kij pielgrzymi wziął, odszedł i znikł bez wieści. Tak chce legenda.

Nie zatrzymamy się nad żywotem Blakasa z Éze, rycerza bez trwogi i skazy, którego sercem dzielić się mieli po śmierci rycerze, by dzielności nabrać. Ani przy szaleństwach Roberta de Venoux, który 30 koni spalił na stosie, aby gościom jaśniej było, lub Gwilema Gros de Martel, który pola całe oświetlił na zabawę olbrzymiemi jak drzewa świecami woskowemi i złotą zastawę między giermków rozrzucił.

Nie pójdziemy śladami wędrownych malarzy, po wszystkich alpejskich kościołach i kapliczkach sen swój ze ścian wyczarowujących.

Ani na włóczęgę awanturniczą z poetą Belaud de la Belaudière z Vence (XVI wieku) i z jego łucznikami, przez zasadzki i brody rzek, samotne gospody, hazardowne sztuczki, karnawały miasteczek i ciągłe zatargi z władzą, aż do więzień gdzie powstawały najpiękniejsze poematy. Nie wejdziemy do tajemniczej pracowni alchemika, maga, jasnowidza Nostradamusa, któremu odwieczna ducha ludzkiego tęsknota kazała zagadki bytu i przyszłości szukać na drogach magji. We wszystkich epokach, w rozmaitej formie i postaci, w przejawach mnogich, przemawia do nas zawsze ta sama wieczna tęsknota ducha ludzkiego, nieukojonego tułacza. *Anna Ludwika Czerny* (Lwów)

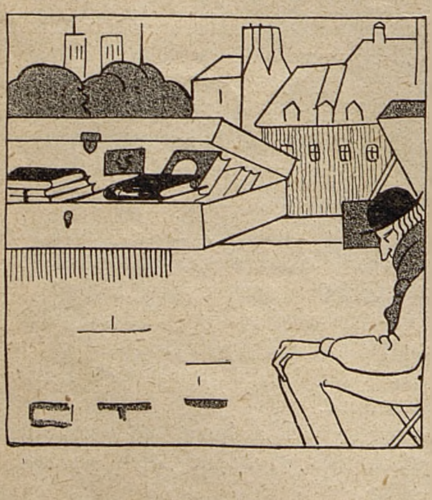
PARYŻANKA

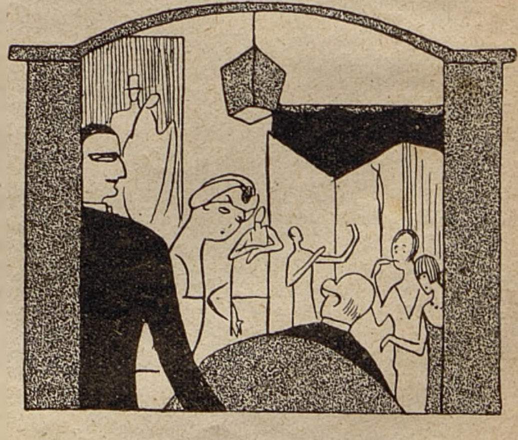
IV. Sądy i przesądy

Ilustracje A. Sikorskiej

PRZY pewnym sceptycyzmie, wrodzonym Francuzom, i przy braku egzaltacji, naogół biorąc, religja jest dla paryżanki kwestją raczej konieczności, niż uczucia. Katolicyzm należy do dobrego tonu, to też wiele osób go praktykuje: chodzi na nabożeństwa, zapala świece przed ołtarzem Matki Boskiej lub przed Joanną d'Arc, bierze ślub w kościele. Po wojnie ruch religijny wzmógł się, ale to raczej w sferach literackich, niż wśród przeciętnej burżuazji. — Kwestja wykształcenia kobiety francuskiej w większości wypadków rozstrzygana jest z punktu praktycznego. Francuzki, na ogół biorąc, nie mają wrodzonej rasom słowiańskim żądzy wiedzy. — Byłam na jednem zebraniu feministycznem, gdzie przewodniczyła pani Marja Verone, pierwsza adwokatka we Francji, a przemawiało wiele znakomitości. Debatowano tam, czy lepiej dać dziewczynie wyższe wykształcenie, czy też pieniądze na to przeznaczone schować na posag. Więc rozstrzyga nie zamiłowanie, nie zainteresowanie i potrzeba wewnętrzna, lecz interes! Posag — to słowo jednoznaczne ze słowem mąż. A mąż — to wielkie słowo. Wobec liczebnego stosunku mężczyzn do kobiet, kobiecie francuskiej trudno wyjść zamąż. A także, wobec tego, że panowie niechętnie się tu żenią, jakkolwiek rząd różne im za ożenienie się nagrody wyznacza. — Przeciętna paryżanka czyta mało i czyta źle. Klasycznych pisarzy zna, oczywista, ze szkoły, ale następnie pokarm jej duchowy nie jest wybredny. Ma swój dziennik, w którego wierzy i z którego czerpie wszystkie swe wiadomości i mądrości, pozatem kupuje na *quais* u bukmisty jakąś książkę, która się jej z wyglądu podoba, a swą ceną nie odstrasza i wertuje ją w metrze, jadąc i wracając z biura. — Rozmawiałam z kobietami ze sfery t. zw. inteligentnej i ze zdziwieniem widziałam, że obce im były nazwiska pisarzy ostatniej doby, już zupełnie znanych. *Matin* czy *Journal*, którego czytają, autora tego nie popierają, skądże o nim wiedzieć mogą? — Bardzo ciekawem zjawiskiem jest to, iż, w przeciwieństwie do naszych zwyczajów, na odczytach i prelekcjach widuje się tu raczej starsze kobiety, niż młode. Są to damy, potrzebujące jakiejś rozrywki, może nie tyle umysłowej, co towarzyskiej, i raz zapisawszy się na pewną serję wykładów, pilnie na nią uczęszczają. Prawdziwie mówiąc, młodym brak na to nawet czasu, bo mając dzień cały bardzo zajęty, nic dziwnego, że wieczorem chcą odpocząć, lub się nieco rozerwać, zabawić. Ale oczywista przedewszystkiem brak koniecznej potrzeby duchowej strawy... — Sami Francuzi utrzymują, że Francuzka w stosunku do innych kobiet niżej stoi pod względem umysłowym. Przy wielkiej wrodzonej, rasowej kulturze, sprycie, dowcipie, lekkości, łatwości mówienia, umiejętności pisania przeciętna kobieta francuska jest mniej inteligentną od przeciętnej kobiety polskiej. Interesuje się niewielu rzeczami i nie ma pragnień w kierunku rozszerzenia swoich pojęć i swego światopoglądu. U nas — jest przeciwnie. Może jest w tem często i snobizm, ale z pewnością jest też wiele wrodzonej potrzeby i ciekawości w zajęciu się sztuką i literaturą. Inna rzecz, że dzięki kulturze w ruchach, mowie, obejściu Francuzka braki swego wykształcenia łatwo ukryć potrafi, zaś poczucie artystyczne i smak estetyczny sprawiają, iż niema tu tak wielkich różnic intelektualnych między klasami społecznemi. — Wyobrażamy sobie, że Francja jest krajem wolnym od przesądów, przeciwnie, jeśli chodzi o kobietę, jest to kraj przesądów i konserwatyzmu. Tu trudno jest o ten złoty środek, jaki widzimy w Ameryce lub Anglji — a czasem i u nas: kobieta ma swobodę, ale jej nie nadużywa. Tu, w wielu przynajmniej rodzinach, uważa się, iż swoboda jest na to, by ją nadużywano, to też burżuazyjne domy pilnie strzegą swych córeczek. Panna ze średniej klasy nie ma tej swobody, co w Polsce, nie może pójść ze znajomymi do teatru, ani na spacer. Zdarza się, że jeśli wykład na uniwersytecie późno się kończy, ktoś z bliskich czeka na nią pod progiem Sorbony. Jedna matka tak mi to kiedyś tłumaczyła: „No, cóż, wy, cudzoziemki, to co innego." Uważała, że cudzoziemce wolno to, co paryżance nie wypada; widocznie cudzoziemka, gdy spędzi kilka godzin w kawiarni, nie zgorszy się tem, co paryżankę zgorszyć może, ani nie zepsuje ją to, co zepsuć może paryżankę... — Zazwyczaj kobiety pracujące samodzielnie są w lepszem położeniu, ich niezależność finansowa imponuje rodzicom i wobec tego zamykają oczy na wiele rzeczy. Czasem nawet na zbyt wiele... Taka panna chodzi ze swym „narzeczonym", gdzie się jej podoba, tańczy w dancingach wśród dam nieco podejrzanych, pali papierosy i obcina sobie włosy, co dotąd w pewnych sferach jest źle widziane. Mógłby mi ktoś zarzucić zbytnią w sądach surowość i tłumaczyć ją zemstą za to, iż Francuzki nas, cudzoziemek, nie lubią. Bynajmniej. Mnie każda kobieta bardzo interesuje i wydaje mi się, że każdą trochę rozumiem. Widzę ich wielkie wdzięki i zalety, ale między umysłowością Polki a paryżanki jest tak wielki przedział, że o istotnem porozumieniu się rzadko może być mowa. Przedewszystkiem dlatego, że one nas poznać nie chcą. Jak wogóle Francuzi nie chcą poznać nic — co nie jest francuskie. — Przypomina mi się rozmowa z Jarosławem Iwaszkiewiczem, gdy ten się skarżył: „Ich nic nie zajmuje! Nic. O nic nie pytają... Niechby się pytali, czy mamy w Polsce góry, i czy jemy chleb przy obiedzie. Nic, nic..."







Nie pytają się, bo nie umieją sobie wyobrazić, by świat gdzie indziej mógł inaczej wyglądać niż w stolicy Francji...

Malibran (Paryż)

KRAJOBRAZY FILIPKIEWICZA

z powodu wystawy w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie

SUKCES duży odniosła ta sztuka, w swych środkach wyrazowych dyskretna i subtelna. Ożywiony ruch zwiedzających, trzydzieści zgórą sprzedanych obrazów. Powodzenie to dzieli artysta pospołu z prezesem lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Bulandą. Ten żywy rezonans na sztukę prawdziwą — to owoc jego długoletniej pracy nad podniesieniem poziomu miejscowej kultury artystycznej.

Podano zastawę wykwintną dla smakoszy. W ciszy i skupieniu trzeba obcować z artystą wśród tej zieleni o tysiącznych odcieniach, jaką dokoła nas roztacza. Trzeba jak on być poetą, by jak on ujrzeć ten świat nas otaczający, nie jako wyraz rzeczy istniejących, mających swój kształt i formę, lecz jako barwny kobierzec, utkany z płaszczyzn i plam barwnych. Filipkiewicz patrzy i widzi inaczej niż my, ludzie praktyczni. Patrzy na wszystko z odległości, ogarniając całość. Stąd kształty szczegółowe zacierają się, stosunki przestrzenne stają się mniej jasne, a wycinek rzeczywistości redukuje się do barwnego wyłącznie zjawiska. Przyroda jest dla Filipkiewicza jedynie zespołem podniet wzrokowych i istnieje dla niego jedynie jako zmysłowe wrażenie, bez dalszych, głębszych skojarzeń duchowych. Böcklin np. nasycał krajobraz liryczną treścią nastrojową, przez spotęgowanie nastrojowej wartości barw. Heroiczny krajobraz romantyków był patetycznym rezonansem dramatycznego lub lirycznego nastroju i uczuć postaci ludzkiej, na tle jego przedstawionej; Ruisdael w energicznych skrętach gałęzi swych drzew gigantycznych wyrażał dramatyczność żywiołu. — Inaczej Filipkiewicz. Był on i pozostał, jak to się zwykło mówić, impresjonistą. Oczywiście, nie tak radykalnym, jak impresjoniści francuscy; np. Monet, u którego zjawisko barwne, plama barwna żyła własnem samodzielnem życiem, tak że przedstawiona rzeczywistość stała się wkońcu lotną zjawą. Filipkiewicz ma dość poczucia rzeczywistości i omija skrajności. Przedewszystkiem chroni go od tej skrajności dość duże poczucie przestrzeni. Korytem rzeki, brózdami pól, rytmem pagórków i drzew oddalających się prowadzi oko w głąb. Wzrok zatrzymuje się pokolei na tych akcentach, biegnie ku głębi, okrężną drogą powraca znowu ku swemu pierwotnemu punktowi wyjścia i oto tajemnica ruchu, jaki ożywia krajobrazy Filipkiewicza. Jest to ruch spokojny i łagodny, bo niemącony intensywnemi kontrastami barw.



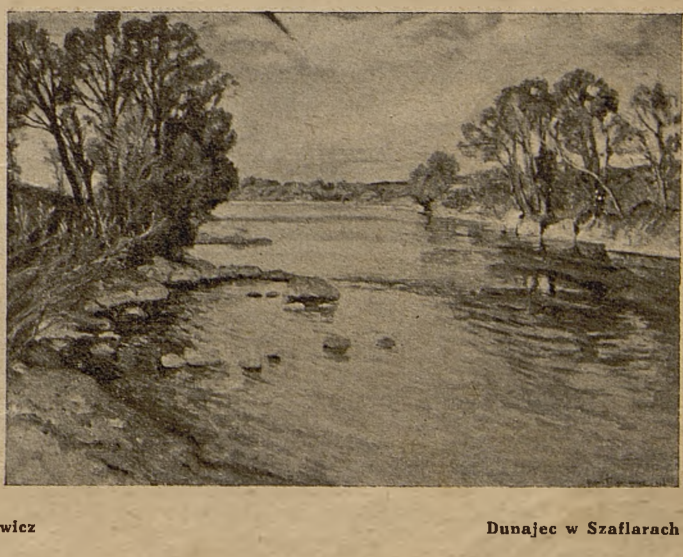
Stefan Filipkiewicz

Taka to już właściwość krajobrazu polskiego, zacienionego baldachimem pochmurnego nieba. Srebrzysty połysk drżących liści wierzb, stalowe refleksy na zwierciedle mętnej wody, żółcień nadbrzeżnych wydm piaszczystych, szarość słomianek polskich, — oto skala barw, towarzyszących zasadniczemu tonowi zieleni, skandowanej w tysiącznych odcieniach, nigdy nie powracających, jak nigdy nie powtarzają się te same warunki atmosferyczne. I ta mała intensywność kontrastów, to ściszenie tonów nadaje krajobrazom Filipkiewicza rys melancholji. Typowa melancholja polska, może wogóle słowiańska. Dusza polska żyje w krajobrazach Filipkiewicza.

Władysław Terlecki



Lato w Radziszowie



Dunajec w Szaflarach

Stefan Filipkiewicz

SEKRETARZ MISS FELICJI

PANNA Felicja Harborough odrzuciła się na oparcie siedzenia w trzeciej klasie. Na ustach jej igrał uśmiech, świadczący, że udało jej się spłatać wyjątkowo ucieszny figla.

Miss Felicja przed godziną ukończyła pensję. Miała lat szesnaście i rada familijna uchwaliła, że teraz będzie mogła uzupełnić swą edukację już w domu. Felicja gorąco poparła ten projekt, zastrzegając sobie w duchu swoiste ustosunkowanie się do zbożnych studjów domowych.

Coroczny powrót ze szkół odbywał się solennie. Przełożona miss Minter — wysyłała Felicja pod tkliwą opieką woźnej i zawiadamiała listownie ciocię Marcelę o dniu i godzinie; ciocia Marcela wyjeżdżała na dworzec... Ale tym razem Felicja napisała do ciotki, że już jest dorosła i wróci sama; ciotka odpisała, że jest niemile zdziwiona tym wybrykiem; powtóre, że nikt jeszcze nigdy nie powiedział, by jej siostrzenice rozbijały się same pociągami (na co panna Fela w duchu: „Ja będę pierwszą, o której to powiedzą); po trzecie, że osobiście przybędzie po nią do szkoły.

Wobec takiej zapowiedzi, miss Felicja wyruszyła w drogę do Londynu wcześniejszym pociągiem, dając rozkaz tragarzowi, by doręczył jej bagaż czarno odzianej i gniewnej pani, która będzie tu o nią pytała za kilka godzin. Sama zaś, acz należycie zaopatrzona przez miss Minter w bilet pierwszej klasy — wsiadła do trzeciej... boć to o tyle zabawniej!

I oto nasza znajoma osóbka siedzi na twardej ławie, wyobraża sobie rozmowę cioci Marceli z tragarzem — i aż oczy łzami jej zachodzą z ukontentowania.

— Czemże wobec jej gniewu cały gniew i wściekłość Nabuchodonozora... — mruczy miss Felicja jakąś cytatę.

Nagle głos z kąta wagonu: — Słucham?

Drgnęła. Zatopiona w marzeniach, nie zauważyła dotąd, iż ma towarzysza podróży. Był nim jakiś młody człowiek, ani elegancki ani przystojny, lecz po którym znać było odrazu dobre wychowanie. Podobał się jej jego sympatyczny rodzaj brzydoty.

— Co pan mówi? — spytała.

— Zdawało mi się, że się pani zwróciła do mnie — rzekł młody człowiek.

— Nie, gadałam do siebie samej. Myślałam o cioci Marceli.

— Ach, tak...

— Widzi pan, — zwierzyła się Felicja, zachęcona jego życzliwym uśmiechem, — wstępuję w nowy okres życia. Zdjęłam szaty dziecięctwa, jak mówi Szekspir.

— Nie Szekspir, tylko św. Paweł — sprostował.

— Niech będzie Paweł. Wiedziałam, że ktoś na S.

— Paweł nie zaczyna się na S.

— Ale „Święty" zaczyna się na S! Nie o to zresztą idzie. Dość, żem ubrała ciotunię nie do twarzy i że rozpoczynam nowy rozdział żywota.

— Dziwnie się zbiegło — rzekł w zamyśleniu. — Bo i ja zaczynam dziś nową kartę.

— Chyba nie skończył pan dziś szkoły? Za stary pan na to.

— Zapewne. Ale znalazłem pracę.

— Pierwszą w życiu?

— Co znowu! Moją pierwszą posadą była wojna; mam na pamiątkę po niej kontuzjowaną nogę. Miałem wstąpić na uniwersytet, ale... Poco jednak panią nudzę?

— Przeciwnie, przeciwnie, strasznie lubię słuchać. Więc?

— Więc... ojca zabito mi na wojnie, a matka zachorowała. Szukałem posady sekretarza, lecz dziś jest na to tylu amatorów i to ze zdrowemi nogami. Zaczęła się codzienna pogoń za pracą. Nie ma pani pojęcia, com przeżywał, wiedząc, że matce potrzeba winogron, pomarańcz i t. d., a nie mając grosza przy duszy.

— Bogu dzięki, że wreszcie zdobył pan tę posadę sekretarza, — szczerze ozwała się Felicja.

Zlekka poczerwieniał.

— Hm, wprawdzie niezupełnie... To jest... Słowem, krótko mówiąc, dostałem miejsce — lokaja.

Obejrzała go powtórnie od stóp do głowy. — Szkoda pana na to — zauważyła.

Zaśmiał się. — Dzięki za dobre słowo! — rzekł z ukłonem. — Bądź co bądź jest to praca... i płaca. Nie uwierzy pani, jakim uszczęśliwiony. Teraz będę mógł dostarczyć matce wszystkiego. A trzeba pani wiedzieć, że matka moja jest aniołem. Jak zresztą każda matka, nieprawdaż?

— Nie wiem — rzekła z nutą smutku w głosie. — Ja matki nie mam. Mam ojca, no i ciocię Marcelę, no i siostrę Rózię, ale ta świeżo wyszła zamąż i mało mam z niej pociechy. Przytem jest za ładniutka, a ładniutkie kobiety są okropnie zarozumiałe, prawda?

— Podobno, — uśmiechnął się młodzieniec.

Pociąg zwalniał biegu. Rozmówca miss Felicji począł zbierać swe rzeczy. — Tu wysiadam — nadmienił.

— Ja również — rzekła.

— Tu jest moja posada. Jestem nowomianowanym lokajem Sir Digby Harborougha.

— Jak się pan nazywa?

— Franklin, do usług.

— Sir Digby Harborough jest mym ojcem, panie Franklin,— powiedziała. — Spodziewam się, że będziemy dobrymi przyjaciółmi.

— Skądże znowu, miss Harborugh! Toby zgoła nie uchodziło. Niech pani nie wspomina ojcu o naszej znajomości. Ale, — uśmiechnął się do niej serdecznie, — że dzielna z pani osóbka, to dzielna!

Pomógł jej wysiąść z wagonu i chciał się oddalić. Zatrzymała go. —

— Chodźmy razem — rzekła. — Zwiodłam ciocię Marcelę, tak, że nikt nie wyjdzie po mnie.

— Pójdziemy, miss Harborough, ale nie razem. Nie chcę być nieuprzejmym, również atoli nie chcę stracić posady.

— Ma pan iść ze mną i basta — przerwała mu stanowczo.

— Ha, pan każe, sługa musi! Lecz okiem duszy już się widzę przeglądającego znowu ogłoszenia gazet, w poszukiwaniu pracy.

Wyszli z dworca i zdążali wąską uliczką.

— Jestem socjalistką — oświadczyła nagle.

— Odkądże?

— Odkąd poznałam pana.

— Ale bez mojej zasługi, bo sam nie jestem socjalistą; wszelakoż — — —

— Rety! — zawołała Felicja — oto Rózia!

Dwoje jeźdźców na przepysznych rasowych wierzchowcach zbliżało się ku nim. Amazonka o niezwykłej, dumnej urodzie skłoniła się Felicji. — Siostrzyczko... — zaczęła, lecz w tej chwili wzrok jej padł na Franklina. Obrzuciła go zimnem, wyniosłem spojrzeniem i odjechała bez słowa. Młody człowiek patrzył za nią dłuższą chwilę.

— Nie zakochaj się pan czasem w Róży — rzekła Felicja. — Toby było takie nieoryginalne! Wszyscy się w niej kochają.

— Nie zakocham się — odparł, a w uśmiechu jego poraz pierwszy dostrzegła pewną gorycz. — Chodźmy.

— Chwileczkę! — zawołała, zatrzymawszy się w środku uliczki. — Mam myśl. Panby jednak wolał posadę sekretarza niż lokaja, co?

— Niewątpliwie.

— Hm, dlaczegożby papa nie miał mieć sekretarza? Doradzę mu to.

— Na miłość Boga, nie czyń tego pani!

— O, może pan być spokojny, będę o k r o p n i e taktowna.

Stanęli przed pięknym pałacykiem i panna Fela oznajmiła towarzyszowi, że są u kresu podróży.

— Gdzie są drzwi kuchenne? — zagadnął Franklin.

— Dajże pan pokój — obruszyła się. — Jazda!

Szedł za nią po wspaniałych schodach. Na ich spotkanie ukazał się odźwierny o minie ministra co najmniej.

— Dobry wieczór, Moult — przywitała go łaskawie. — To p. Franklin, nowy lokaj ojca. Konamy z głodu; proszę nam podać herbatę w saloniku, a żywo.

Moult poczerwieniał i zwilżył sobie wargi. — Nakryłem do stołu dla p. Franklina w kredensie, proszę jaśnie panienki, — oświadczył z godnością.

Już od tygodnia pełnił Franklin obowiązki swego nowego zawodu i Sir Digby był zeń zupełnie zadowolony, Mniej zadowolona była zeń najmłodsza córka pana domu. Młodzieniec stanowczo nie chciał podzielać jej liberalnych poglądów, uparcie tytułował ją panienką i odzywał się tylko wtedy, gdy go zapytała o co. Wyraz jego twarzy był filozoficznie spokojny, bynajmniej jednak nie uradowany. To ją szczerze martwiło, zdecydowała tedy wykonać swój zamach stanu. W tym celu udała się tego rana do gabinetu ojca i zapukała do drzwi.

— Proszę!

Na podstawie tego okrzyku wprawne uszko miss Feli określiło natychmiast, że Sir Digby cierpi na artretyzm i jest wściekły. Wsunęła się nieśmiało.

Był w trakcie czytania poczty, co zawsze nader ujemnie wpływało na jego humor. — „Głupcy! idjoci!“ — mruczał gniewnie, drąc list po liście na strzępy. — Jeden tylko rozsądny list w całej paczce! Od kogo? od profesora Foxtona z Leeds University; zapowiada, że przyjedzie obejrzeć moje rękopisy i pokazać mi własne.

Sir Digby Harborough był zbieraczem. Jego kolekcja minjatur i średniowiecznych manuskryptów słynęła w całej Europie. Surowy i przykry dla wszystkich, stary arystokrata żywił istną czułość dla tych, którzy podobnego mieli „konika“.

— Czy mam napisać odpowiedź? — spytała słodziutko,

— NIE!

— Powinienbyś, papo, mieć sekretarza... — zaryzykowała.

Była to niewczesna uwaga w nieodpowiedniej chwili. Sir Digby cotylko potrząsnął był swem wiecznem piórem, by się przekonać czy jest w niem jeszcze atrament; pióro potaknęło tak szczodrze, że cały notes upstrzył się plamami.

— Wynoś mi się! — ryknął rozjuszony rodzic.

Dzień był upalny. Chudy człowieczek o wyglądzie uczonego przywlókł się zziajany do pałacyku. Był to pan profesor Foxton, przybyły na nieszczęście wcześniej niż go czekano, tak, że wysłana poń kareta ze wspaniałym stangretem na koźle wyminęła go w drodze, nie darząc go najmniejszą uwagą.

Gdy uczony mąż wkroczył do przedsionka, ujrzał siedzącą na stole i huśtającą nóżkami złotowłosą panienkę z powieścią w ręku a przy drzwiach kogoś, kto wyglądał na studenta, starał się zaś wyglądać na lokaja. W tejże chwili otwarły się drzwi gabinetu i na powitanie gościa wyszedł z otwartemi ramionami pan domu.

Kiedy obaj zbieracze rękopisów zniknęli za portjerą, młodzieniec usiłujący wyglądać na lokaja zawahał się chwilę u drzwi do korytarza kuchennego, ale zawrócił i podszedł do panienki.

— Kto to? — zagadnął ją krótko.

Felicja drgnęła: po raz to pierwszy przemówił do niej samorzutnie.

— Profesor jakiś tam skądś tam — odparła. — Albo co?

— Profesor jaki i skąd? — nastawał.

Namyślała się ze ściągniętemi brwiami.

— Aha, przypomniałam sobie: profesor Foxton z Leeds University. Dlaczego pan pyta?

— Proszę tu chwilę zaczekać. Idę do telefonu.

Niebawem powrócił.

— Pani jest pewna, że to prof. Foxton z Leeds Uiniversity?

— Jak najpewniejsza; czytałam jego list do papy.

— Prof. Foxton z Leeds University jest obecnie w Szwajcarji.

Jej szafirowe oczy otwarły się szeroko. — Więc któż to taki? — szepnęła.

— To mię właśnie zaciekawia — rozmyślał głośno. — Jużem gdzieś widział tę figurę, ale gdzie?... W tem sęk.

— Jaka pyszna przygoda! — wykrzyknęła zachwycona. — Koniecznie, koniecznie przypomnij sobie pan!

— Staram się...

Naraz uderzył się w czoło. — Mam! Hola, gdzie on? Gdzieś koło bibljoteki?

— W błękitnym saloniku.

— Tam gdzie są minjatury, nieprawda? Niech pani pójdzie zobaczyć, czy zbiory są w porządku, ja zaś jeszcze raz zatelefonuję.

Po kilku minutach spotkali się w błękitnym saloniku. — No, jakże tam? — zagadnął.

— Brak czterech — rzekła wolno: — czterech najcenniejszych. Ktoś wyważył wieko, o, patrz pan — i — i — okno jest otwarte, a na dywanie widać ślady zabłoconych butów.

— Ładna historja — gwizdnął.

— W każdym razie — zadecydowała — chodźmy ostrzec papę.

Dwaj kolekcjonerzy niejednakowo zareagowali na tę przykrą wiadomość: Sir Digby zsiniał ze wściekłości, łagodny zaś profesor po chwili spokojnego namysłu przypomniał sobie, że zauważył był, wchodząc do pałacyku, myszkującego pod oknami draba. — Myślałem, że to ogrodnik — objaśnił.

— Trzeba sprowadzić policję! — krzyczał Sir Digby. — Ani jednej sekundy do stracenia.

— Jużem po nią telefonował — skromnie wtrącił Franklin.

Profesor bystro nań spojrzal: spojrzenie młodzieńca nie spodobało mu się — jeszcze zaś mniej podobały mu się następujące jego słowa:

— Jako jedyna osoba, która dziś była w błękitnym saloniku bez świadków, pan profesor nie weźmie mi za złe, jeśli go poproszę wywrócić swe kieszenie?

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. — Czy to pański sekretarz? — zwrócił się Foxton do gospodarza.

— Nie, to mój lokaj — rzekł Sir Digby.

Profesor podniósł brwi: — Naprawdę?... Jednakże ma on słuszność. Oto moje kieszenie.

To mówiąc, okazał zebranym ich wnętrze. Ani śladu minjatur.

— A pańska walizka? — uprzejmie poddał Franklin.

— Precz! — wrzasnął oburzony pan domu. — To zniewaga!

Franklin ani drgnął, — Pańska walizka — powtórzył.

Wtem szanowny profesor błyskawicznym ruchem rzucił się ku oknu — zapóźno! Franklin już go tulił w pieczołowitych a krzepkich ramionach.

— Puść... puśćże mię pan u licha. Nie będę uciekał. Ba, każdy miewa chwile niepowodzeń. Minjatury są za podszewką walizki. Czy to policja? oddaję się w ręce sprawiedliwości.

— Przypomniałem sobie jego twarz — tłumaczył Franklin Felicji. — W pierwszych miesiącach wojny wstąpił do naszego pułku na ochotnika, ale go wkrótce wyrzucono za jakąś kradzież.

Sir Digby wydał jakiś pomruk, mogący oznaczać wdzięczność albo zainteresowanie.

— Poczta, proszę jaśnie pana — oznajmił Moult, wchodząc do pokoju z tacą w ręku. Sir Digby jęknął. niecierpiał listów.

— Może pozwoli pan, że ja je przejrzę? — zaproponował Franklin.

Gdy w godzinę potem Felicja weszła do pracowni, ojciec jej dyktował szybko piszącemu jej protégé.

— Felicjo! — zawołał.

— Słucham, papo.

— Czy herbata gotowa?

— Tak jest.

— Każ Moultowi dodać jedno nakrycie — dla mego nowego sekretarza.

Richmal Crompton

Nieco skrócony przekład z angielskiego

Tłum. *Jan Kaniowa*

STRACONY REKORD

12) Dokończenie

Powieść

NAGLE — ostateczne napięcie niepokoju. Głośny, przeraźliwy gwizdek. Wstrzymał oddech.

Teraz widzi, jak Jaracz pochyla się i całuje rękę Ellen, coś mówi, co to może być? Ellen stoi bez ruchu, dopiero po drugim gwizdku obraca się. Oczy o złotawym połysku orzechów są wilgotne.

Uczucie ulgi. Uśmiech. Szarpnięcie ruszającego z miejsca pociągu. Proń staje w oknie. Jeden, drugi zgrzyt, jeden, drugi obrót kół — i oto na przeciąg jednej, błyskawicznej sekundy, widzi Jaracza naprzeciw siebie.

Wbił w niego oczy jak dwa żelazne, mocne haki. Dzieli ich tylko parę kroków i przegroda z cienkiego szkła.

Jaracz zrozumiał wszystko. Oświetlony reflektorami żółtych lamp — wolno odchodził z dworca.

W Gdańsku Proń był jednym z pierwszych pasażerów, którzy wsiadali na pokład.

Dzień był niebieski i chłodny.

W południe — na pełnej wodzie, tworzyły się jakby rozwarte paszcze kraterów, z których buchały blaski, niby szlachetne kamienie: zabarwione na zielono chryzoprasy, — hiacynty o specjalnym, czerwonawym odcieniu, — żółte i niebieskawozielone beryle. Wytryski te wyglądały jak maleńkie, w górę wzniesione wysepki, u stóp których rozciągały się równe zagony wody o połyskliwej, srebrnej glazurze.

Ellen, oparta o poręcz pokładu, wpatrywała się w wełniste runa fal, w kędzierzawe, poszarpane grzywy perłowej piany.

— Ellen!

W najwyższem zdumieniu odwróciła głowę.

— Pan tu?

— Tak, tutaj. Inaczej byłbym oszalał.

— I dlatego nie przyszedł mnie pan pożegnać? — przerwała.

— Dlatego, pani Ellen.

Milczał z zapartym oddechem.

Za chwilę usłyszała jego zduszony, gardłowy głos:

— Pani bardzo kocha Jaracza?

— Bardzo.

Milczeli długo. Potem odszedł.

Minął dzień. Nie rozmawiali wcale.

Dopiero może na godzinę przed wylądowaniem Ellen zapukała do kajuty Pronia.

— Mam do pana prośbę. Ja wiem, że pan w Kopenhadze wsiądzie na następny statek i wróci. Proszę tylko nic nie mówić. Ja wszystko dobrze rozumiem. Myślałam dużo. Inaczej być nie może.

Słowa były jak fale podczas przypływu. Równe, sprężyste, dźwięczne.

Patrzył na nią suchym szklanym wzrokiem. Uczuł w mózgu martwą, nieprzebitą ciemność.

— Musimy się tutaj na okręcie rozstać. Pan wróci do Polski.

Mocne, krótkie odciski fal uderzały o zapocone okienko kajuty.

— Proszę mnie pocałować na pożegnanie, — uśmiechnęła się różowemi kątami rozchylonych ust.

— Ellen!!

Wyszedł na pokład zaczerpnąć tchu.

Na wodzie tworzyły się wąskie, fiołkowe kliny i podmywały boki szybko sunącego okrętu.

Zdaleka majaczyły już pierwsze obrysy miasta, owinięte jasną, paloną barwą terakoty.

Usłyszał nosowy, niski głos jakiegoś marynarza:

— Kjöbenhavn.

PRZEGLĄD SPORTOWY

Dzwonek, który codziennie między 1/$_2$4—1/$_2$6 męczył i wyczerpywał Zośkę — ucichł nareszcie. Było już po ordynacyjnych, popołudniowych godzinach.

Michał Gałęzki wszedł do pokoju żony.

— Zosiu, mam właśnie pacjenta na drugim końcu miasta. Może chciałabyś się przejechać? Tak rzadko teraz opuszczasz dom — a to mnie martwi. Potrzebujesz więcej powietrza, ruchu. Źle wyglądasz.

— Nie. Dziękuję ci. Czuję się tylko trochę zmęczona. Na wszystko patrzysz przez swoją siedmiokrotnie zwiększoną medyczną lornetkę.

Zobaczyła, jak mosiężna, nieznośnie świecąca się klamka opadła wdół i znów podniosła się wgórę. Usłyszała szelest jedwabnej portjery i przyciszone dywanem kroki, a za chwilę trzask klucza od strony wchodowych drzwi.

Przeszła do salonu i zapaliła światło. Jaskrawo zapłonął cały żyrandol. Był to salon dla pacjentów, a więc dość szablonowo urządzony. Drugi, wytworny znajdował się obok.

Był koniec stycznia. Za oknami waliła ćma. Zawodził luty wiatr. Uczuła przejmujący chłód, chociaż temperatura była w pokoju zupełnie normalna. Przyniosła długi futrzany sza i owinęła się.

Wzrok jej padł na szereg ilustrowanych czasopism, rozłożonych w nieładzie obok rozkwitniętej czerwonej azalji, na niskim, inkrustowanym stoliczku.

Mechanicznie zaczęła przeglądać tytuły pism, mniej lub więcej ciekawych tygodników i miesięczników. Po przerzuceniu kilku, wbiły się nagle w jej oczy ogromne, świecące, jakby jeszcze z drukarskiej nieobeschnięte farby — litery: „Przegląd Sportowy“. Nie zdając sobie sprawy dlaczego — zatrzymała ten numer w rękach.

Zaraz na pierwszej stronie u góry widniał grubemi czcionkami nałożony tytuł, taki wyraźny jak wzór wyszyty czarną włóczką na pasku kanwy:

„Stracony rekord.

Telegram z Szmeksu.

Dnia 24 i 25 stycznia odbyły się tu międzynarodowe zawody narciarskie. Pierwszy dzień skoków zakończył się zwycięstwem na całej linji najlepszego polskiego narciarza, trzykrotnego mistrza Polski i dwukrotnego mistrza Węgier, Franciszka Jaracza. Dzień następny (zawody w szybkim biegu) zakończył się katastrofą, która dotknęła cały — zebrany tutaj świat narciarski. Na parę metrów przed metą, pierwszy ze zdążających Franciszek Jaracz, wskutek niefortunnego pośliźnięcia — złamał nogę. Odwieziono go natychmiast do szpitala. Zachodzi obawa amputacji nogi. Mistrzem południowej strony Tatr na rok 192... został Jarosław Marno-Prohaska“.

Zośka patrzyła na te słowa przez bielmo najwyższego zdumienia. W mózgu uczuła jakby gniazdo brzęczących os, rojowisko złośliwych, kłujących szerszeni. Lodowaty dreszcz wstrząsnął jej całem jestestwem.

Obręcze, które tak mocno dotychczas ściskały jej serce, zaczęły gwałtownie pękać. Czytała jeszcze raz i jeszcze raz. Litery cisnęły się jej do oczu jak wielkie, szare ćmy do świecącego płomienia lampy.

Zaczęła skwapliwie przeszukiwać artykuły „Przeglądu“, niby szuflady z nawałem spiętrzonych, niepotrzebnych rzeczy — w nadziei znalezienia jeszcze jakiejś — choćby drobnej wzmianki.

Na trzeciej stronie zobaczyła równy rząd gęstych, zbitych liter:

„Zawody narciarskie w Zakopanem.

Dnia 27 i 28 stycznia odbyły się tu zawody narciarskie, przy tłumnym współudziale publiczności, która coraz bardziej

Kokardy-ostatnim krzykiem mody



809 Suknia z crêpe de Chine w deseń przybrana jasnemi pliskami, spód w ciemniejszym tonie.

808 Suknia z cienkiej wełnianej krepy z przodu układana we fałdy i przybrana pliskami.

810 Suknia z jedwabnej krepy z spódniczką częściowo plisowaną i szarfą na przodzie, mała pelerynka wycięta w zęby.

Szykowne płócienne suknie



811 Suknia z niebieskiej crêpe de Chine przybrana białą krepą i niebieskim ozdobnym ściegiem.

812 Suknia z niebieskiego płótna przybrana płótnem ciemniejszym i stebnem.

813 Suknia biała płócienna ozdobiona ręcznemi mereżkami.

Płótno i jedwab



830 Suknia z etaminy w deseń, przybranie białe.
831 Suknia z białego jedwabnego płótna przybrana stebnem.
832 Suknia z lnianego batystu przybrana ręcznemi mereżkami.
833 Suknia z jedwabiu białego przybrana ciemnym.



834 Suknia z crêpe de Chine przybrana koronką, pasek z ozdobną klamrą.

835 Suknia z crêpe marocain przybrana plisami i guzikami, fichu i manszety koronkowe.

836 Suknia z cienkiego wytłaczanego aksamitu z marszczoną spódniczką i wielką kokardą na przodzie.

837 Suknia z crêpe satin przybrana srebrnym motywem.

Na chłodne dni



854 855



856 857

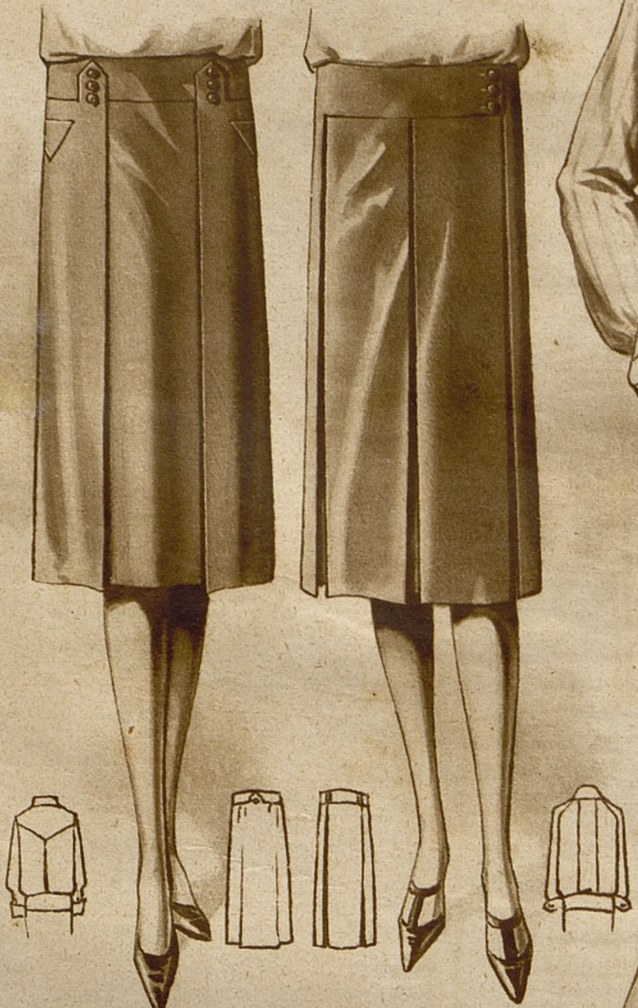
854 Płaszcz z charmelaine w angielskim stylu z tyłu lekko wyrzucany.
855 Kostjum tailleur z charmelaine w angielskim stylu.
856 Płaszcz z wełny diagonal z paskiem w wysokości naturalnej ozdobionym klamrami z przodu i z tyłu.
857 Kostjum composé. Spódniczka z wełny w drobną kratę, żakiet z wełny gładkiej i przybrany materjałem spódniczki.

858 Bluzka z markizety przybrana pliskami i guzikami.

859 Bluzka z płótna w paski przybrana białym.



858



861 862



859





860

860 Bluzka z pongis przybrana stebnem z grubego jedwabiu, krawatka szkocka.

861 Spódniczka z materjału kasha przybrana guziczkami.

862 Spódniczka z lekkiej wełny układana we fałdy.

863 Bluzka z crêpe 'de Chine w zakładeczki, wielki żabot.





863



883 Sukienka na letnisko z kolorowego płócienka sznurowana na przodzie, bluzka i fartuszek z surowego jedwabiu lub batystu.

884 Sukienka na letnisko z zefiru w kratę, bluzka z białego batystu.

885 Sukienka na letnisko z satyny w kwiaty, staniczek z przodu zapinany, fartuszek z czarnego jedwabiu.

886 Sukienka na letnisko. Spódniczka z tafty w kratę przybrana taftą jaśniejszą, staniczek z czarnego jedwabiu, fartuszek i bluzka z białego batystu.





887 Sukienka poranna z lekkiej wełny przybrana ciemnym jedwabiem.

888 Kombinacja z jedwabiu do prania przybrana koronką ecru.

889 Pyjama z jedwabiu w deseń przybrana ciemnym jedwabiem.

890 Kombinacja batystowa ozdobiona szeroką mereżką.

891—894 Modne koszule nocne z etaminy i jedwabnej krepy ozdobione zakładkami, mereżkami, koronką i haftem.




1170
1171
1172
1173
1174


1177
1178
1175
1176
1179

zaczyna się interesować sportem narciarskim. Mistrzem Polski na rok 192... został znany zaszczytnie malarz Jan Kamiński z S. N. P. T. T. Franciszek Jaracz, wskutek nieszczęśliwego wypadku w Szmeksie, udziału w zawodach brać nie mógł. Nie stawał również zeszłoroczny mistrz Polski Stanisław Proń, z powodów bliżej nam nieznanych".

Wzrok Zośki padł na fotografję Kamińskiego, którego nigdy nie widziała.

Na dworze waliła śnieżna kurniawa.

Wieczorna, styczniowa zamieć taranem biła o słabe serce Zośki.

NAKKEHOVED

Jaracz z pod zsuniętych brwi patrzył na srebrnawą, o kolorze zastygniętej platyny — rozściel wody. Na szarym, niepomarszczonym brokacie powierzchni spoczywały jasne obrysowania cieni: pierwsze zwiastuny świtu.

Za chwil parę na wshodnim pół-łuku nieba zabłyszczało miejsce tak jasne, jakby srebrną oblepione staniolą, — rozwarło się niby ostrym przecięte nożem, a z wnętrza wytapetowanego freskami o kolorze indyjskiego różu i bladego seledynu — wytoczyła się wspaniała, zwycięska kwadryga słońca. Obłokiem złotego spojrzenia zmierzyła całą długość gościńca, a potem swój triumfalny rozpoczęła obieg.

Martwa i aż do tej chwili bielmem bezruchu zasnuta powierzchnia wody, zaczęła żyć.

Jakby ktoś olbrzymie, rozżarzone głownie powrzucał w jej otchłań, jakby ktoś pozapalał szkarłatne paszcze reflektorów.

Łuska perłowej mgły, okuwająca cały przestwór, pękła, a powietrze zaczęła przenikać wilgotna lazurowość.

Zamajaczyły kontury drugiego brzegu, tak delikatne jak malowidła gwaszowe.

Jaracz wchłaniał szeroki, rozległy widok.

Wczesna, poranna godzina przypomniała mu tygodnie włóczęgi po Tatrach.

Uśmiechnął się dziwnie.

Z urny serca zaczął wydobywać dawne, pyłem długich miesięcy przysypane chwile.

Biała, szpitalna klatka. Tygodnie bezmiernego żalu, w których żrąca niepewność toczyła jego myśli tak systematycznie i nieustępliwie, jak kornik toczy nadwodne drzewa.

Zawieszenie między niepewnością a nieśmiałą nadzieją.

Ból i drapieżna słodycz oczekiwania:

Oto otworzą się biało lakierowane drzwi i wejdzie Zośka. Jeszcze raz powie: „Chcesz — rzucę wszystko — zostanę".

Dnie mijały takie długie, jak kilometry dla upadającego z sił wędrowca. Nie przychodziła. Szarpał się jak pies, po raz pierwszy przypięty na łańcuch.

Zmora amputacji przybierała obleśne i wyobraźnią do maksimum powiększone kształty. A gdy minęła wreszcie — uśmiech, który po raz pierwszy od długich tygodni, rozchylił jego wargi, — uśmiech piękny jak kremowa gałązka akacji, był zapowiedzią nowego życia.

Ale paski blizn, któremi zapieczętował szalony rozdział zamieci, zrastały się bardzo długo.

Raz po raz niecierpliwą ręką zszarpywał gojące bandaże i aby nie czuć gryzącego bólu, truł się oszałamiającą kokainą wspomnień.

Wybrał się w świat. Szeroka arena miała odegrać rolę białej siostry miłosierdzia, podającej miękkie, lniane szarpie zapomnienia i odurzający flakon nowych wrażeń.

Polubił portowe miasta. Włóczył się po starych, zgiełkliwych dzielnicach, kładąc rękę na roztańczonem tętnie życia, nadsłuchując i licząc nierówne, przyśpieszone uderzenia.

Były podobne do rozdziałów jego życia: pełne niespodzianek, nieograniczonego ruchu i wytężonej pracy zdobywania.

Myślał często o tem, że najpiękniejszy rozdział sam przeciął ostrzem jednego słowa.

Dnie przepędzał na pokładach rozkołysanych statków, — czasami długo nie ruszał się z jakiejś nadmorskiej wioszczyny, a czasami po dwóch dniach pobytu w jakiemś mieście, zrywał się na dalszą włóczęgę.

Wszechmożny wicher gnał go po świecie.

Z naiwnie uśmiechniętej Holandji, z kraju powydymanych żaglowych skrzydeł i spokojnej, niedzielnej powagi, czającej się zasobnie w wykrochmalonych przybraniach kobiecych głów — posłał Zośce ostatnie pozdrowienie.

Bez żalu o głębokie nacięcia blizn i o potworny skalp bólu, który na przeciąg długich czterech lat zatrzymał go w drodze życiowego rozwoju. Pożegnanie, jakie posyłamy tym, o których wiemy, że nigdy do nas nie wrócą.

Belgja wydała się mu chłodnym, spokojnym pasażem, który można przejechać, za kilkanaście godzin, pociągiem codziennych wrażeń, — a Francja duszną palarnią opjum, gdzie za fajkę błyskotliwego przeżycia płaci się złotemi frankami straconego rozmachu i optymizmu życiowego.

Wyjechał na fiordy.

Winne, musujące powietrze podziałało na niego jak żywiczny balsam.

Oczarowany różowemi fiordami, wyrzezanemi jakby genjalną ręką artysty w krzemiennem krzesiwie — zwolna się dźwigał do nowego życia.

Objeżdżając brzegi, rzucał z białego statku poszarpanym fryzom skał — uśmiechy, szybko powracającego do zdrowia rekonwalescenta.

Sam nie wiedział, skąd napływają te turkusowe, słońcem opasane fale — ale często teraz myślał o Ellen.

Przypomniał sobie, jak raz przy trzaskającym ogniu smolnych szczap, w Mięguszowieckiej dolinie, opowiadała o dalekiej, północnej ojczyźnie fiordów, którą — czuł to wtedy — byłaby bez sekundy namysłu, rzuciła dla niego, na zawsze.

Czyż nie była stokroć lepsza od Zośki? — zadał sobie po latach to samo pytanie, które rozsadzało jego gorący mózg wówczas, gdy Ellen przyjechała do Polski.

Czyż nie kochała go uczciwiej i goręcej? Co robi teraz? Może sprzedała majątek w Danji i przeniosła się do Norwegji? Może mieszka gdzieś blisko za temi poszarpanemi zębami dzikich gór.

Przypomniał sobie Pronia. Jakżeż szalał za Ellen! Gdzie jest teraz? Ostatnia kartka, którą mu z kraju przysłali do Włoch, miała pieczęć Port-Saide i datę z przed dwóch lat. Jakżeby chętnie tu — na białym statku — w obliczu skupionej, nadbrzeżnej panoramy porozmawiał z nim.

Dziwne. Jaracz na progu drugiej części tej najciekawszej historji, którą jest życie, myślał o Ellen i o Proniu.

Napisał do niej list na stary, znajomy mu adres. Dostał odpowiedź, która zamigotała przed nim jak wygładzone lustro Popradzkiego stawu w upalny dzień sierpnia, parę zdań pachnących jak rozłożyste, olbrzymie bukiety ciemnej kosówki pod Kasprowem Ukrociem.

Przywitała go na maleńkim dworcu w Helsingör. Nie zmieniła się nic.

Piękna jak wyspa Śródziemnego morza, — pomyślał Jaracz.

— Ellen, przyjechałem po ciebie — po was — wrócimy w nasze góry — dobrze?

— Ty wiesz, — głos był wilgotny i wibrujący jak akord u Debussy!

I oto stoi teraz na nakkehoved, jak nieraz dawniej na igłach — okutych miedzią słońca szczytów, — tylko, że zamiast czarnych, przepastnych czeluści — ma pod sobą chryzolitową wodę Sundu, w której przegląda się wschodząca, złota kwadryga.

Na tej nieznacznej wysokości jest mu tak, jakby pierwszy stanął w chmurach na Mont Everest i na szczycie zatknął zuchwałe drzewce swojej odwagi.

Z podniesioną głową schodził wdół.

Szedł do Ellen. *Kazimiera Alberti*

Gen. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI: Na służbie rosyjskiej. Fragmenty wspomnień. Gebethner i Wolff. 1926.

Wśród nowości bieżących książka niedawno zmarłego gen. Grąbczewskiego jest bezsprzecznie jedną z najciekawszych. Nasz przymusowy związek z Rosją był niestety tak ścisły, że dotąd w najwyższym stopniu interesuje nas i długo jeszcze interesować będzie wszystko, co się przyczynia do wyświetlenia zakulisowej polityki i taktyki caratu. A żaden może Polak nie był do tego bardziej powołany, niż śp. gen. G., który w ciągu długich lat, spędzonych *w* (nie *na!)* służbie rosyjskiej, zajmował szereg najwybitniejszych stanowisk. „Wspomnienia" jego przynoszą moc ciekawych szczegółów o powstaniu 63 r. na Litwie, o Aleksandrze III, Mikołaju II, w. ks. Konstantym, Durnowo, Plewe'm, wojnie japońskiej, rewolucji 1905 r., podróżach na Daleki Wschód i t. d. Z tych kart, pisanych ze szczerą prostotą, tchnących prawdą i uczciwością, wyziera postać człowieka niezwykle prawego, dobrego i rozumnego. Żałujemy, iż śmierć nie dała autorowi — jak to zamierzał — wyjaśnić pobudek, które jego, syna powstańca 63 r., skłoniły do złożenia Rosji w ofierze wszystkich sił i niepospolitych zdolności. *-w-c-i*

ADOLF NOWACZYŃSKI: Komendant Paryża. Dramat w ośmiu obrazach. 392 str. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań.

Po dłuższem milczeniu, nanowo zbudził się w Nowaczyńskim utalentowany dramaturg i, naszem zdaniem, nigdy jeszcze nie przemówił fortunniej w tej dziedzinie. Nie wiemy, jak się ta rzecz o Polaku Jarosławie Dąbrowskim, wojskowym komendancie Paryża podczas Komuny, przedstawia na scenie; ale w czytaniu jest ona porywająco ciekawa. Wogóle rekonstrukcje historyczne stanowią *fort* Nowaczyńskiego; o ile jednak taki np. „Wielki Fryderyk" wygląda na pełną erudycji i b. zajmującą, lecz nieco papierową monografję, raczej niż na utwór beletrystyczny, o tyle „Komendant" żyje od początku do końca, żyje bujnie i przekonywająco. Dodatnie strony twórczości autora: werwa, dowcip, przenikliwość psychologiczna — są tu jeszcze wzmocnione; ujemne — zwłaszcza wprost irytujący niekiedy makaronizm stylu, świadome dziwactwo języka — bardzo złagodzone. Karykaturalnie w tym długim dramacie przedstawiają się chyba dwie tylko postacie: Rosjanin Potapenko i żyd Landeaux *recte* Landauer. Świetny jest cały „prolog historyczny". *-w-c-i*

Monografje artystyczne pod redakcją Mieczysława Tretera. 32 ilustracje w każdym tomie. — Tom IV: MIECZYSŁAW TRETER, Konrad Krzyżanowski. 25 str. — Tom VII: WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ, Al. Orłowski. 24 str. — Tom VIII: WACŁAW HUSARSKI, Karykatura w Polsce. 28 str. — Tom IX: MIECZYSŁAW STERLING, Jan Stanisławski. 24 str. — Tom X: WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ, Michał Płoński. 20 str. — Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

Zwięzłe a treściwe te monografje, skreślone przez pierwszorzędnych znawców, z radością powitają ludzie, miłujący sztukę rodzimą i głębiej się nią interesujący. Nie roszcząc sobie prawa do merytorycznej oceny tych tomików, zaznaczę jeno, że znakomicie ułatwią one propagandę naszej sztuki za granicą, gdyż nieznających nawet języka polskiego pociągną obfite i doskonale wykonane ilustracje, a króciutki tekst nie odstraszy; z drugiej zaś strony ten króciutki tekst zawiera wszystkie najniezbędniejsze wiadomości, a przeto również i dla czytelników polskich wydawnictwo to będzie nader pożyteczne. *-w-c-i*

ANTONI PISULIŃSKI: Szlakiem słonia afrykańskiego. Wrażenia z podróży i polowań w Afryce środkowej. Z 28 ilustracjami. 217 str. Bibljoteka „Iskier". Książnica-Atlas. 1927.

Książkę tę, aczkolwiek wydaną przez Bibljotekę „Iskier" (zwracamy uwagę na to doskonałe pisemko), a więc specjalnie przeznaczoną dla młodzieży, z niemniejszą przyjemnością przeczytają i dorośli miłośnicy „podróży". Rzecz napisana spokojnie, bez śladu przesady, bez nadzwyczajnych a niemożliwych przygód; czuje się, że autor naprawdę przeżył to wszystko. Mam wprawdzie jedno zastrzeżenie co do takich książek — dla młodzieży; wolałbym w niej budzić miłość do zwierząt (jak to mistrzowsko robią m. i. Dygasiński, Kipling...), a nie krwiożercze instynkty; niemiło mi tuż po opisie wielkiej inteligencji słonia czytać, jak to myśliwemu serce zabiło z chęci zamordowania go... Ale jest to osobisty punkt widzenia, którego nikt nie ma obowiązku podzielać. A „Szlakiem słonia" jest opowiedziane żywo, zajmująco, dobrą polszczyzną. *-w-c-i*

JÓZEF POLLAK: Ślepcy. 224 str. Bibljoteka Domu Polskiego 1926.

Rzecz jaskrawo młodziencza, bardzo jaszcze niedojrzała. Styl często napuszysty, ckliwo-poetyczny. Rażący brak eurytmji: jedne epizody rozwlekłe (np. dzieje opieki nad ośmiorgiem sierot), drugie (np. małżeństwo i rozwód) nieproporcjonalnie sumaryczne. — Któżby pisał do prawie niepiśmiennej matki-staruszki, wdowy po stolarzu, takie listy jak chociażby na str. 36 — z niemieckiemi cytatami, powoływaniem się na Ibsena itp.? A dialog na str. 210 czyż nie sprawia, miast dramatycznego, wręcz humorystycznego wrażenia? — Zaletą tej książki jest jej strona ideowa, pełna czystego i pięknego entuzjazmu. *-w-c-i*

BOLESŁAW KOREYWO: Życie na bakier. Powieść współczesna. Nakładem Spółki Pedagogicznej T. A. Poznań. 244 str.

Cała siła tej nader miernej powieści jest pożyczona zzewnątrz: wstrząsające są opisane w niej okropieństwa przewrotu bolszewickiego, ale tak samo wstrząsający byłby i lada artykuł dziennikarski na temat tych wydarzeń. *-w-c-i*

S. JELEŃSKI: Mała Mirjam. Opowieść ewangeliczna. 66 str. — TENŻE: Woda żywa. Opowieść ewangeliczna. 104 str. O. JACEK WORONIECKI: Gawęda o gawędzeniu. 57 str. — Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań.

Trzy książeczki dla starszej dziatwy, wydane dobrze, a nawet ładnie (dwie pierwsze obficie ilustrowane), napisane w duchu nienagannie katolickim. Bardzo dodatnią cechę tych książeczek stanowi ich staranny język. Zwłaszcza o. Woroniecki jest nietuzinkowym znawcą i miłośnikiem czystej polszczyzny. *-w-c-i*.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI: Nie było nas, był las. Powieść 312 str. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1926.

Co stanowi tajemnicę powodzenia książek tego autora? Opowiada nam zwykle rzeczy najzwyczajniejsze w świecie, o ludziach arcy-przeciętnych, bez śladu wyjątkowości, egzotyzmu; opowiada to językiem bardzo prostym, jakby nawet rozmyślnie unikającym efektów; a przecież chwytamy każdy nowy tom łakomie i w domu sprzeczamy się o to, kto pierwszy go przeczyta. Perzyński nie stworzył nowej formy; ale może tem nas właśnie zdobywa, że... na nowo stworzył starą. Ze podczas gdy tylu bałwochwalców współczesności formalnej usiłuje pokryć czczość natchnienia cudactwem wyrazu, on ukazuje dowodnie, jak wiele talentu, jak wiele głębszego wyczucia tejże współczesności można wlać w utartą, nieomal szablonową formę powieściową... No i ten wytworny, dyskretny, doskonały w smaku humor, którym P. — najbardziej chyba z dzisiejszych naszych beletrystów — zbliża się do Anglików. (Zresztą w omawianej powieści pierwiastek ten znajduje niestety mniej miejsca, niż w poprzednich. *-w-c-i*

„PRZYJACIEL DZIECI". Wiersze Benedykta Hertza. Rysunki Kamila Mackiewicza. Wydawnictwo Gazety Policyjnej „Na Posterunku". Cena 1 zł 50 gr. Książeczka ta barwnie mówiąca o polskim policjancie i dzieciach, podająca w ciekawej formie świetnych rysunków i wesołych wierszy praktyczne wskazówki, jak się zachować należy na ulicy — stanowi naprawdę miły i pożyteczny podarek gwiazdkowy. Wydawcy mieli nie tylko dobry pomysł, ale i zdołali nadać mu właściwą szatę. Nazwiska autorów książeczki mówią same za siebie. Strona graficzna staranna. Cena niska.

TARNAWSKI WŁADYSŁAW: Z Anglji współczesnej. Pięć szkiców. Wyd. Z. N. I. Ossolińskich. 1927.

Książki, które zbliżają nas do obcych narodów i pomagają nam do ich zrozumienia, zaliczam do najbardziej zasłużonych. W swoich szkicach, wziętych z życia i z literatury dzisiejszej Anglji, autor zajmuje się przedewszystkiem zagadnieniami społecznemi. Spostrzeżenia swe ilustruje bogatym zbiorem anegdot i obrazków obyczajowych, dla których samych już warto książkę przeczytać. Autor więcej ceni Anglję przedwczorajszą i wczorajszą od dzisiejszej i jutrzejszej. Dlaczego? Odpowiedzi należy szukać w dziedzinie polityki, i tu miałbym wobec tej książki trochę zastrzeżeń. Ale że jest to temat, nieszczególnie zajmujący nasze Czytelniczki, można poprzestać na zapewnieniu, że książka profesora Tarnawskiego jest książką pożyteczną, a co najważniejsze — nie nudną. *wgt.*

ROMAN ZAWILIŃSKI: Dobór wyrazów. Słownik wyrazów bliskoznacznych i jednoznacznych. Do praktycznego użytku. Ułożył Roman Zawiliński, redaktor „Poradnika Językowego". W Krakowie 1926. Nakładem „Poradnika Językowego". Zeszyt I. Strona XXXII + 64.

Ukazał się zeszyt pierwszy bardzo potrzebnej książki. Z oceną jej wstrzymamy się narazie aż do ukazania się całości. Przytaczamy natomiast wyjątek z Przedmowy do niej dla poinformowania czytelniczek „Świata Kobiecego" o tendencji niniejszego słownika:

„Słownik ten powstał z potrzeby posiadania podręcznika, któryby mieścił na pewne pojęcie wszelkie istniejące w języku wyrazy jedno- lub bliskoznaczne. Idzie bowiem o to, aby w danym razie piszący mógł użyć wyrazu najwłaściwszego i myśli najlepiej odpowiadającego, a więc idzie o dobór wyrazów. Chcę np. komuś poświadczyć, że spełnia swe obowiązki sumiennie i dobrze, a chcę to wyrazić krótko i dosadnie, nie opisywać kilku wyrazami. Przym. *pilny* jest mi za blady; szukam tedy w tym słowniku wyrazu *pilny* w wykazie abecadłowym, a znalazłszy go i przy nim liczbę, szukam w układzie rzeczowym wskazanej grupy i, znajdując cały szereg bliskoznacznych wyrazów, wybieram np. *gorliwy* lub *oddany*, wyrażając tym sposobem myśl swoją dokładniej.

Nie zależało mi na tem, abym badał drobiazgową różnicę znaczenia tych części mowy, nie zależało mi na pochodzeniu lub użyciu przez autorów klasycznych; cel mój był praktyczny i ten osiągnąłem szybko z pomocą tego słownika.

Praktycznemu tedy użyciu ma służyć ten „Dobór wyrazów"; nie kusi się o objaśnienie znaczeń, nie popiera ich przykładami, nie szuka tedy niczego, coby mu nadawało charakter naukowy, poprzestając na właściwościach podręcznika i poradnika".

Zachęcamy czytelniczki nasze do przedpłaty, która wynosi za całość powyższego słownika 15 zł., a z przesyłką pocztową o 50 gr więcej. Przedpłacać można w każdej księgarni. *r.*

Szal szydełkowany w zęby. 25 dkg włóczki piaskowej i po 4 dkg włóczki lila, w trzech odcieniach, potrzeba na ciepły i piękny szal. Zaczyna się łańcuszkiem z oczek w powietrzu, tak długim, jak szal ma być szeroki. Naturalnie, z grubej włóczki wypadnie ich mniej, aniżeli z cienkiej. Podany tu szal jest wykonany z włóczki „sportowej“. W pierwszych oczkach robi się po 1 słupku raz nawijanym, potem opuszcza się 2 oczka, w trzecim robi się 1 słupek, opuszcza znowu 2 oczka i robi w 9 następnych oczkach po 1 słupku. W dziesiątem oczku robi się 2 słupki, następnie 1 oczko w powietrzu i znowu 2 słupki do tego samego oczka i tak dalej aż do końca. Najpiękniej wypadnie następujący układ kolorów: pierwszy rząd najciemniejszym lila, następny rząd w jaśniejszym, trzeci w najjaśniejszym; później 3 rzędy piaskowej włóczki, 3 rzędy stopniowanej lila i tak naprzemian 3 razy. Dalej robić piaskową włóczką; gdy się zacznie nanowo brzeg, robić naprzemian 3 rzędy włóczką lila i piaskową.

Szal powinien mieć 150 cm długości. Na obu końcach frendzle z włóczki we wszystkich użytych kolorach.

Szal robiony na widełkach. Do wykonania tego szalu potrzeba 15 dkg białej, 15 dkg żółtej włóczki, oraz 6 dkg jedwabiu. — Bortę widełkową zaczyna się robiąc 1 oczko w powietrzu. Trzymając to oczko na szydełku w środku widełek, zakłada się nitkę od przodu do tyłu, naokoło prawego końca widełek, poczem przewleka się ją przez oczko na szydełku. Następnie obraca się widełki półobrotem w lewo i wrabia pod przednią nitkę lewej kluczki 1 niski słupek, obraca się znowu i t. d. Zrobić borty białej i żółtej tyle razy po 1·5 m na długość, jak szeroki ma być szal. Borty należy zakończyć po obu bokach, łącząc po 4 kluczki 1 niskim słupkiem; poczem robi się 3 oczka w powietrzu i łączy następnie 4 kluczki i tak do końca. Białą bortę zakończyć żółtą włóczką, a żółtą bortę — białą włóczką. Tak wykończone borty łączyć jedwabiem żółtym, robiąc 1 niski słupek w środkowe z 3 oczek w powietrzu wykończenia borty; następnie 3 oczka w powietrzu, 1 niski słupek w zakończenie drugiej borty i tak do końca (ob. próbkę).

Szal można ozdobić frendzlami z włóczki białej i żółtej, wokoło 3 stron lub tylko na dwóch końcach. Frendzle umocowuje się węzełkiem.

Zina Kulczycka



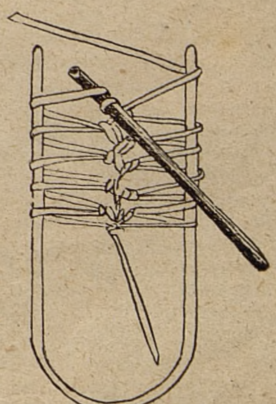


Szal szydełkowany w zęby.



Szal robiony na widełkach



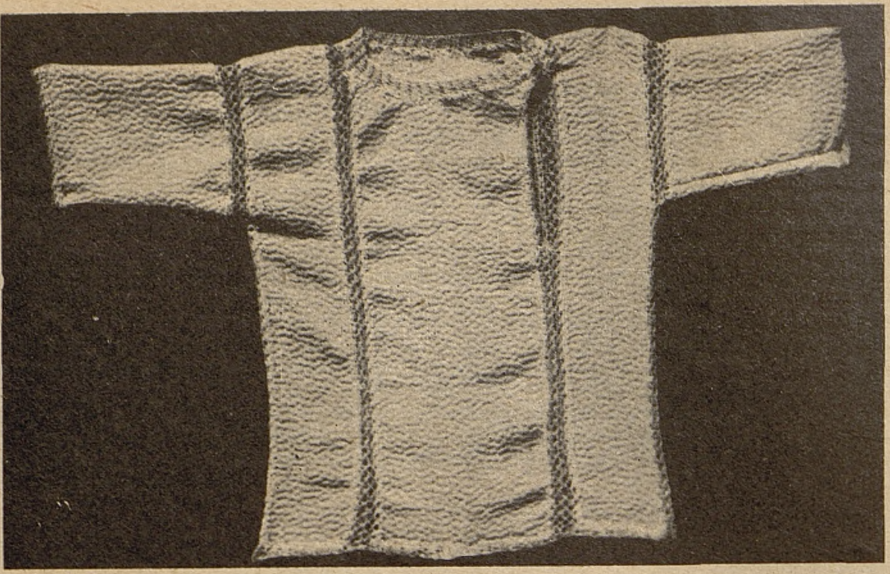


Na wszystkie modele sukni, płaszczy, bielizny, ubrań dziecięcych i t. p., podawanych w „Kąciku Praktycznym“, dostarczamy krojów normalnej wielkości, w cenie zł 2·—. Udzielamy wskazówek w kwestji garderoby i bielizny dziecięcej.

ROBOTY RĘCZNE

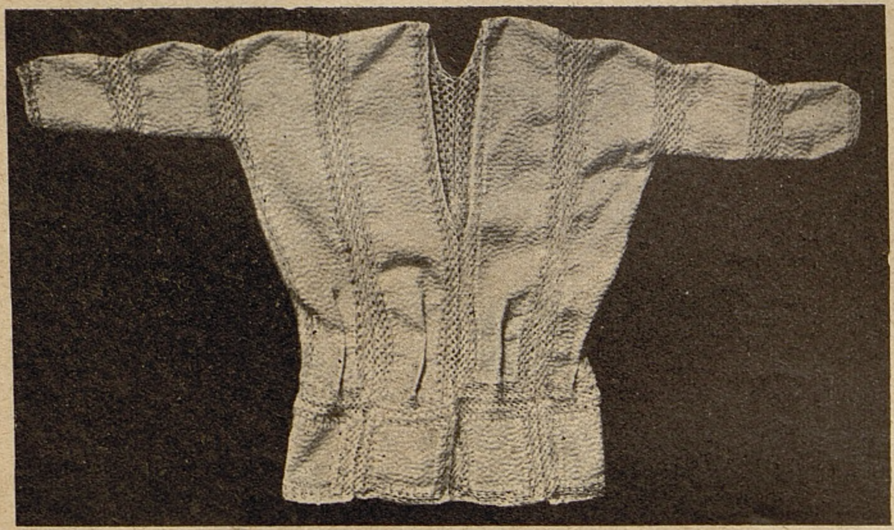
JUMPEREK I TRZY SUKIENKI

Z MATERJI, ŁĄCZONEJ SZYDEŁKOWANIEM



Powyższe modele wykonane są z wełnianego kreponu, pokrajanego w podłużne paski i kwadraty, układane według kroju.

Każdą część obszydełkowano białą włóczką, wbijając 1 niski słupek w materję, 1 oczko w powietrze i t. d. naokoło. Następny rząd z włóczki zielonej: 2 niskie słupki pod oczko w powietrzu, 2 oczka w powietrzu i t. d. naokoło. Na rogach dodaje się, robiąc 2 niskie słupki — pod oczko w powietrzu — 2 oczka w powietrzu i 2 niskie słupki pod to samo oczko.



Teraz robi się taki sam rząd z włóczki różowej, znowu z zielonej, dalej z lila, zielonej i białej.

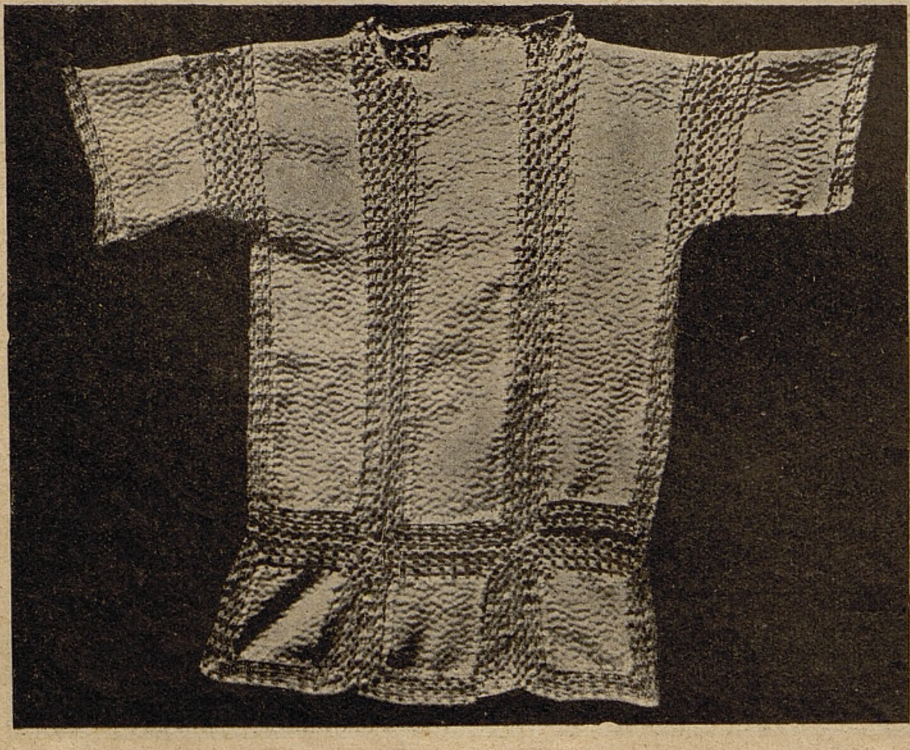
Odcienie tych włóczek powinny być bardzo jasne, stosownie do jasnego kreponu, barwy różowej lub zielonej. Można jednak użyć każdego innego koloru, wedle upodobania.

Gdy już wszystkie części wykończone włóczką, łączy się je szydełkowaniem podług kroju. Przy krajaniu części trzeba o tem pamiętać, że powiększą się one o jakie 2 cm — 3 cm naokoło, wskutek obszydełkowania.

Łączenie części wykonywa się, robiąc 1 niski słupek pod oczka w powietrzu na kraju jednej części, 2 oczka w powietrzu i 1 niski słupek pod 2 oczka w powietrzu drugiej części.

Na takie modele można zużytkować stare sukienki, które w ten sposób rozszerza się i przydłuża.

Fotografje przedstawiają jumperek dla chłopczyka czteroletniego i sukienki dla dziewczynek w wieku 6, 3 i 1½ roku.



OPIS WZORÓW NA TABLICY:

I. **Aplikacja kolorowa** (1 = zielone, 2 = szafirowe, 3 = żółte, 4 = pomarańczowe; obwódka — bronzowa, tło — szare.)
II. **Haft biały** (do bielizny).
III i IV. **Narożniki mereżkowe** (do chusteczek, poszewek, bielizny stołowej i t. p.).

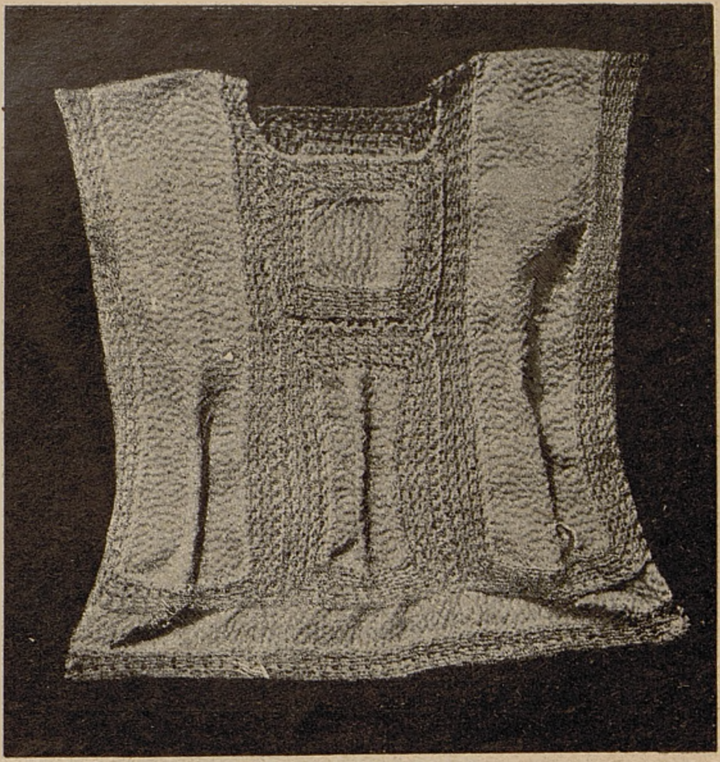
Rys. 1 (u góry): Jumperek dla 4-letniego chłopczyka.
Rys. 2 (w środku): Sukienka dla 1½-rocznej dziewczynki.
Rys. 3 (u dołu): Sukienka dla 6-letniej dziewczynki.

WZORÓW (do kopjowania kalką, nie do prasowania) do wykonania robót zawartych w „Świecie Kobiecym" dostarczamy odwrotnie. Ceny wzorów robót ręcznych: Obrusy, firanki, kapy itp. 2 zł. Milieu, poduszki, makatki 1 do 2 zł. Motywy, tabletki itp. 0·80 do 1·50 zł.

Na osobne zamówienia i w specjalnych rozmiarach cena wedle umowy. — Dostarczamy także wzorów do haftu sukien, zawartych w naszem piśmie.

Celem zaoszczędzenia bardzo znacznych kosztów zaliczki, prosimy należność przesyłać przy zamówieniu (można w liście w znaczkach poczt.) wraz z kwotą 0.25 zł na koszta przesyłki.

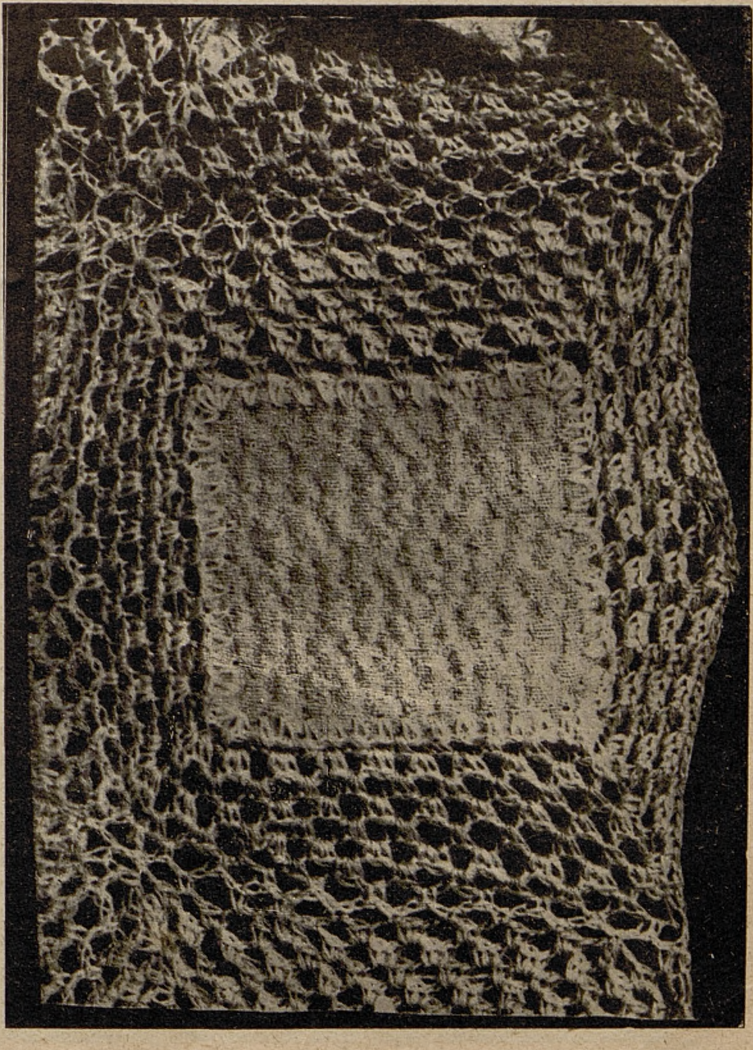
Prosimy Sz. Czytelniczki o łaskawe podanie przy zamówieniach wzorów do robót: rodzaju techniki (czy haft biały czy kolorowy), na jakim materjale (czy płótno, sukno lub jedwab), rozmiaru i dokładnego celu np. (czy kapa na stół czy łóżko). Ułatwi to bardzo ekspedycję, za oszczędzi czasu na konieczne nieraz pisemne dodatkowe zapytania, a tem samem przyśpieszy wysyłkę.



Rys. 4. Sukienka dla 6-letniej dziewczynki

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela Redakcja ustnie albo pisemnie.





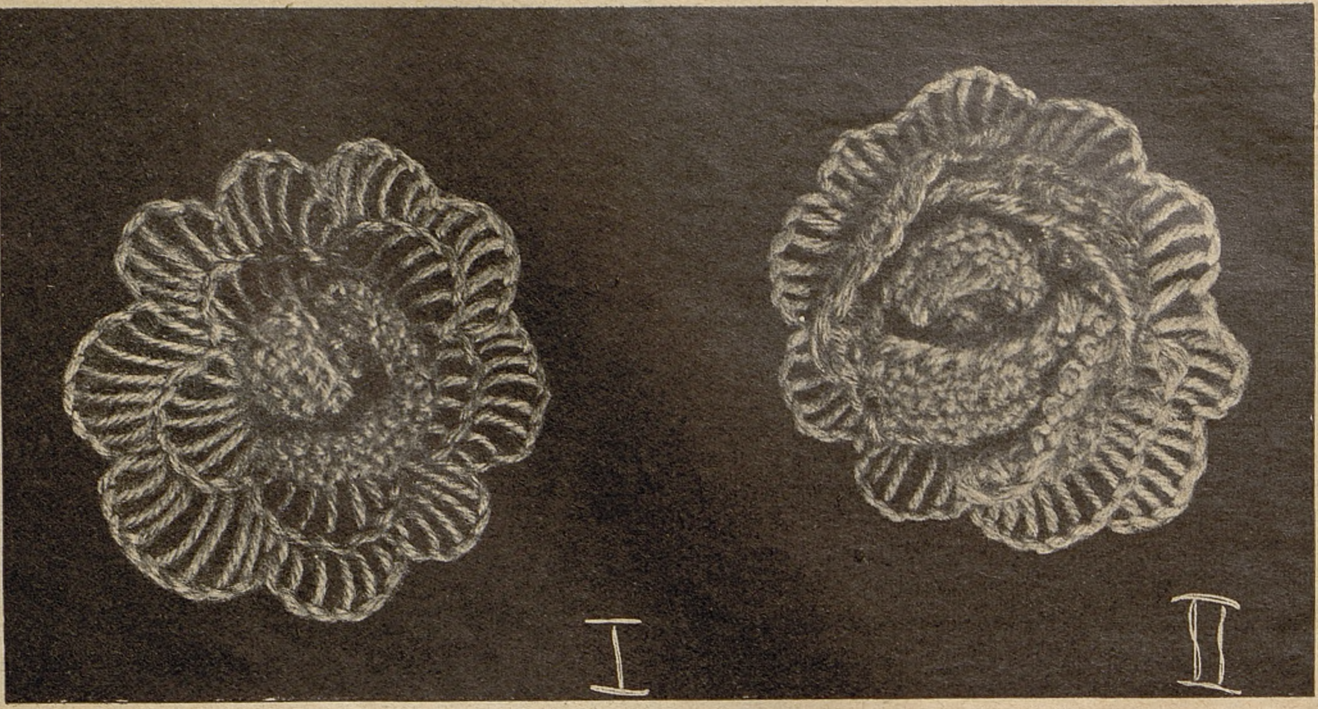
Rys. 5. Szczegół do sukienek

BUKIET DO PRZYPINANIA

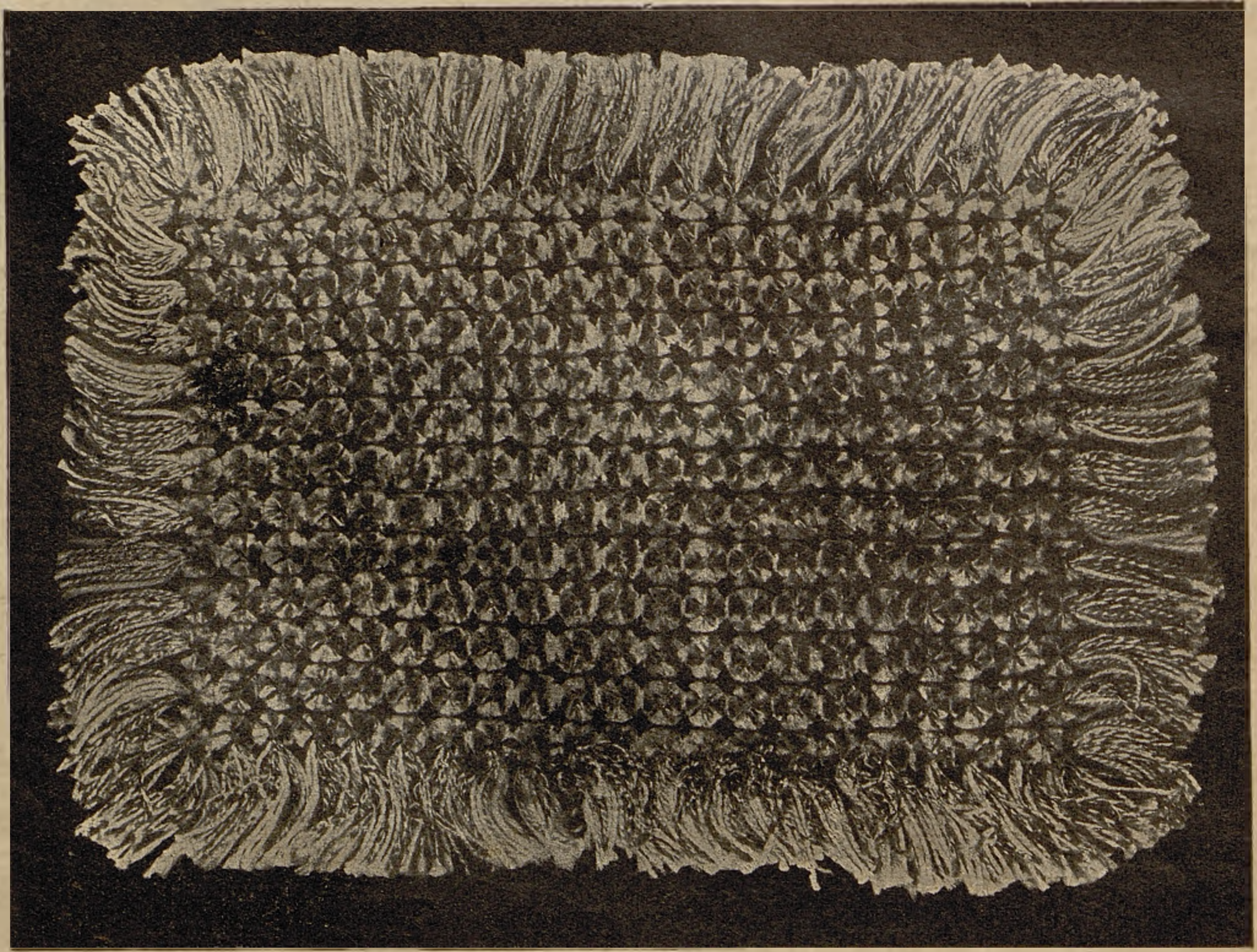
Z włóczki lub grubego jedwabiu

Prześlicznie wygląda bukiecik z kwiatków włóczkowych, stopniowanych w kolorze, o łodyżkach zieleni majowej. I tak można zrobić wiązankę, od najciemniejszego lila do najbledszego, od mocnego pomarańczowego do kremowego. Dla młodziutkich panienek stopniować można dyskretny róż lub delikatny błękit, a równie młodzieńczo wyglądać będzie wiązanka białych kwiatków.

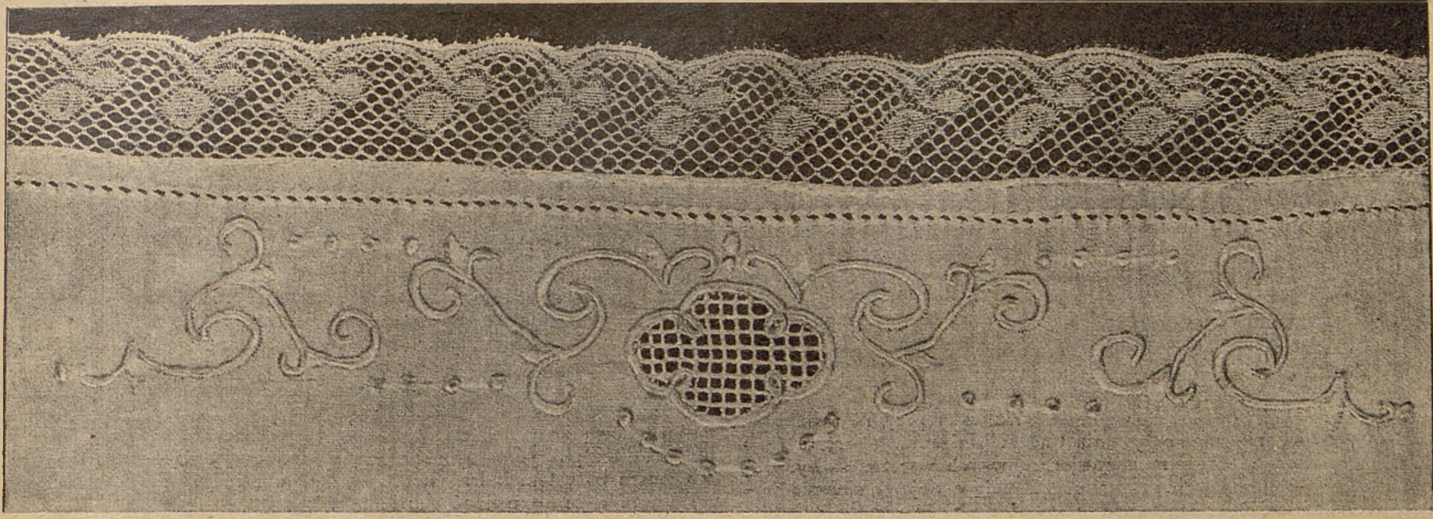
Robota bardzo łatwa. Włóczkę zieloną, długości 20 cm składa się wpół. U góry przyszywa się 4 kluczki długości 1 cm, w ten sposób, że w środku wystaje króciutka kluczka zielona, tworząca środek kwiatka. Kwiatki układa się według odcieni, od najciemniejszych do najjaśniejszych, w pełną wiązankę, przytrzymując je okręconą zieloną włóczką. Również efektownie wygląda taki bukiecik z grubego jedwabiu.



Rys. 6. **Szydełkowane róże** z kolorowej włóczki, aplikowane luźnemi, dzierganemi ściegami do materjału. Do ozdoby szlafroków lub garderoby dziecinnej.



Rys. 7. **Kapka na wózek dziecinny,** obecnie modna robota „szyszkowa" z wiązanej włóczki. Brzeg wykańcza puszysta frendzla.



Rys. 8. **Motyw haftu** ażurowego i atłaskowego do ozdoby wykwintnej bielizny (brzegiem przyszyta walensienka).



Rys. 9. **Okrągłe milieu**, haft biały i angielskie dziurki na cienkiej webie. Poszczególne pola ozdobione robotą „Toledo". Brzeg dziergany można jeszcze wzbogacić koronką klockową.

O ODMROŻENIACH

I.

PRZY LECZENIU odmrożeń należy pamiętać o tem, że podlegają im najłatwiej jednostki, u których istnieją niedomagania w obiegu krwi. Trzeba więc przedewszystkiem zająć się ogólnym stanem zdrowia i, zależnie od potrzeby, zarządzić odpowiednie postępowanie. U osób z natury wątłych i wrażliwych — choćby nawet ogólny stan zdrowia nie wykazywał żadnych niekorzystnych zmian — wskazane jest, w celu wzmocnienia organizmu, podawanie preparatów żelazistych, arsenowych, chinowych.

Następnie wypada rozpatrzeć i usunąć przyczyny, które wywołały cierpienie, więc np.: niedostatecznie ciepłe ubranie, źle dobrane i za ciasne rękawiczki lub obuwie i t. p.

W lżejszych stadjach odmrożeń występuje rozszerzenie naczyń krwionośnych, zaznaczające się sino-czerwonawem zabarwieniem skóry. Podlegają im najłatwiej policzki, uszy, koniuszek nosa i ręce. Raz rozszerzone naczynia krwionośne są wybitnie wrażliwe i przy najmniejszem zadziałaniu zimna reagują natychmiastowem sinieniem skóry, a przy silniejszem występuje obumarcie powierzchownych warstw skóry, zupełnie jak przy poparzeniach. Niemiłe i krępujące objawy sinienia występują nietylko w zimie; sprowadzają je już pierwsze chłody jesienne, albo też nawet nagłe zmiany temperatury w lecie.

Ręce. — W pierwszych chwilach po odmrożeniu rąk należy unikać wejścia do ciepłego pokoju i zetknięcia z ciepłą wodą. Natomiast trzeba je nacierać śniegiem, dopóki nie zniknie zbielenie skóry i bezwład palców. Drugą czynnością jest wtarcie maści jodowej lub ichtjolowej.

Szczególnie przykremi objawami są następnie drobne wyniosłości, barwy sino-czerwonawej, tworzące się na palcach i grzbiecie dłoni, którym towarzyszy nieznośny świąd i pieczenie. Zaniedbane, przechodzą w stadjum pęcherzyków, pękają i powodują owrzodzenia. Trzeba zatem jak najenergiczniej starać się o przywrócenie normalnego zabarwienia skóry i sprężystości naczyń krwionośnych. Najprostszym środkiem są gorące i naprzemienne kąpiele rąk z dodatkiem składników ściągających i wzmacniających, np: na jedną kąpiel garść kory dębowej, łyżka stołowa ałunu, taniny 3—10 g, kwaśnej wody 50 cm³ i t. p. Te lokalne kąpiele powinny być tak gorące, jak tylko wytrzymać można, i trwać 5—10 minut.

Po kąpieli, na noc, wcierać następującą maść:

calcariae chloratae	2·0 g
ung. paraffini	18·0 „

albo:

ammonii sulfo-ichthyolici	20·0 g
bals. peruv.	20·0 „
camphorae tritae	10·0 „
vaselini flavi . . . . ad	100·0 „
M. f. ung.	

Jeszcze lepiej, aniżeli wcieranie maści w skórę, działają opatrunki: rozsmarować maść na wąskiej opasce, owinąć nią poszczególne palce i dłoń, przytrzymać suchą opaską lub włożyć obszerne rękawice.

Popękana i rozraniona skóra wymaga innej maści:

arg. nitr.	0·5 g
bals. peruv.	5·0 „
ung. zinci . . . . ad	50·0 „
M. f. ung.	

Jeśli chodzi o usunięcie szpecącego ręce sino-czerwonawego zabarwienia skóry, doskonałe wyniki dają okłady z alkoholu. Delikatną gazę opatrunkową złożyć ośmiokrotnie, skropić obficie alkoholem, owinąć nią palce i dłoń, pokryć przepuszczającą powietrze materją — najlepiej dziurkowanym batystem Billrotha, a na wszystko założyć opaskę kalikotową. W braku tejże — owinąć chusteczką.

Okłady z wody wapiennej oddają również bardzo dobre usługi.

W uporczywych przypadkach stosują lekarze z powodzeniem rezorcynę, która nietylko zwęża rozszerzone naczynia krwionośne, ale równocześnie wzmacnia naskórek i uśmierza świąd. Ażeby wzmóc uśmierzające działanie rezorcyny, kombinuje się ją z eukalyptusem i collodium:

euresol.	2·0 g
euralyptol.	2·0 „
ol. terebinth.	2·0 „
collodii . . . . ad	20·0 „

Leczenie odmrożeń nie ogranicza się do powyższych wskazówek; oprócz gorących i naprzemiennych kąpieli, oprócz maści i okładów, należy stosować masaż i elektryzowanie prądem faradycznym (przerywanym). Dalej: ręce trzeba usilnie chronić przed działaniem zimna; nosić ciepłe, obszerne rękawiczki, z miękkiej skóry — nigdy glacée — albo włóczkowe. Po każdorazowem umyciu lub kąpieli starannie osuszyć, nasycić tłuszczem, zapudrować łojkiem i nałożyć rękawice.

Wkońcu uzbroić się trzeba w cierpliwość i przygotować na długotrwałe zabiegi nawet poza okresem jesienno-zimowym, gdyż raz rozszerzone naczynia krwionośne tylko z wielkim trudem i nakładem pracy można doprowadzić do pierwotnego stanu. Trwa to niekiedy lata — zwłaszcza, jeśli zmiany przeszły w stan chroniczny. *Efeb*

TO I OWO

= Nowe placówki kobiece. Sekcja pracy kobiet przy zrzeszeniu zredukowanych urzędników i pracowników uruchomiła w Warszawie następujące placówki: 1) Dział pośrednictwa pracy (Sto-Krzyska 17, 15), obejmujący biurowość, wychowawstwo, przemysł i wszelkie gałęzie pracy kobiecej. 2) Dział przepisywania na maszynach i powielaczach, oraz przekładów handlowych, naukowych i literackich w 10 językach (Widok 16, 7). 3) Dział sprzedaży komisowych (tamże). 4) Pracownię sukien, okryć, bielizny i wszelkich robót kobiecych (tamże). Sekcja pracy kobiet zwraca się do społeczeństwa z gorącem wezwaniem do poparcia tych warsztatów, czem w drobnej chociażby mierze ulży się klęsce nędzy i bezrobocia wśród kobiet inteligentnych, a pozbawionych pracy.

= Odbyła się w Warszawie druga konferencja Klubu Kobiet Postępowych z dyskusją na temat reformy prawa małżeńskiego.

= Prof. Gualterie omawia w ciekawem dziełku kwestję samobójstw wśród niezamężnych kobiet. Liczba bowiem takich samobójstw przybiera wręcz zatrważające rozmiary: dość powiedzieć, że w roku 1926 w samym Paryżu odebrało sobie życie 149 kobiet w wieku od lat 40 do 50. Przyczynę tego smutnego stanu rzeczy upatruje prof. G. w wadliwie pojętem dążeniu do emancypacji.

= Tegoroczną państwową nagrodę literacką otrzymał znakomity humorysta Kornel Makuszyński, „wróg kobiet"... w książkach.

= W dowcipnym fejletoniku p. t. „Kobietologja" omawia S. K. („Ilustrowany Kurjer Codzienny", nr 331) książkę Wasylewskiego „O siedmiu duszach kobiety".

= Poza granicami Polski prace prof. Ossendowskiego cieszą się coraz większem powodzeniem; oto m. i. kilka szczegółów, podanych przez „Wiadomości Literackie": Listy Ossendowskiego z podróży do Afryki drukowały pisma włoskie, hiszpańskie, angielskie i szwedzkie, wkrótce zaś mają się one ukazać również we francuskich i niemieckich. Dwa tomy, omówione niedawno w Świecie Kobiecym, mianowicie „Płomienna północ" i „Pod smaganiem samumu", wyjdą niebawem w tłumaczeniu czeskiem, włoskiem, węgierskiem, francuskiem, niemieckiem, hiszpańskiem. Zamierzony jest przekład wszystkich jego dzieł na język żydowski. Recenzje z jego prac podały świeżo „Times", „Daily Telegraph" i „La presse".

= Ukazała się obszerna praca Traversiego o niedawno zmarłej słynnej aktorce Eleonorze Duse.

= Zmarła w Paryżu pani Marja Władysławowa Mickiewiczowa, wdowa po zmarłym niedawno synu Wieszcza.

— 9. 12. z. r. zmarł wszechświatowej sławy malarz francuski Klaudjusz Monet, twórca t. zw. impresjonizmu. Nieboszczyk był przyjacielem Clemenceau'a, który się nim opiekował aż do końca. Monet urodził się w roku 1840.

= Zmarła Eliszka Krasnohorska-Pechova, czeska tłumaczka „Pana Tadeusza".

= Zmarła pani Lubow Dostojewskaja, córka znakomitego autora „Zbrodni i kary".

= Hrabiny de Noailles, wysoce utalentowanej poetki francuskiej, ukazał się nowy utwór p. t. „L'honneur de souffrir".

= „Wiadomości Literackie" donoszą: Miasto Paryż wydało ku czci pani de Sévigné wspaniałą ilustrowaną księgę pod redakcją Jana Richepin. Wszystkie prawie artykuły napisane są przez kobiety.

= W roku 1927 przypada setna rocznica urodzin znanej powieściopisarki niemieckiej Marlitt.

= Japońska śpiewaczka czaruje Europę. W początku grudnia z prawdziwą rozkoszą słuchaliśmy w Filharmonji warszawskiej śpiewu pani Teiko Kiwa — zwłaszcza zaciekawiły nas swym egzotyzmem piosnki japońskie.

= Zmieniono ustawę Akademji Hiszpańskiej i odtąd będą do tej instytucji dopuszczane kobiety

= Angielska pisarka Agata Christie znikła nagle w sposób tajemniczy. W ciągu dwóch tygodni szukało jej bez skutku dziesięciu detektywów. Sprawę wyjaśnił dopiero list od... niej samej, w którym ogłasza, że się ukryła dobrowolnie — dla reklamy.

= Prezydent Stanów Zjednoczonych Coolidge przyjął w swej rezydencji sześć Amerykanek, nagrodzonych na tegorocznym konkursie piękności, i wręczył każdej po 5.000 dolarów.

= Przemysł art. i ludowy na wystawie roln.-przem. we Włodzimierzu na Wołyniu. Przemysł art. na pierwszej okręgowej wystawie wołyńskiej przedstawiał się pod względem wartości nie gorzej od wystaw stołecznych. Co było najlepszego na Wołyniu, dzięki organizatorowi tego działu prof. A. Prusiewiczowi było tu reprezentowane. Pierwsze miejsce zajmowały znane z innych wystaw koronki i hafty z warsztatów S. S. Opatrzności Bożej w Dubnie, prowadzone przez S. Janinę Michalewską. Prace te, jako pozakonkursowe, otrzymały drugą nagrodę:

medal złoty Centr. Tow. Roln. P. Marja Sudnikowa z Krzemieńca, znana z wystaw krajowych, dała kilimy ze swego warsztatu o motywach zaczerpniętych ze starych, zatraconych kilimów wołyńskich. — Otrzymała drugą nagrodę — złoty medal. Woł. Tow. Roln. za stylizacje kilimowe. Po raz pierwszy eksponowano tu arcydzieła krawiectwa damskiego; również i szale, ozdobione pięknemi haftami ręcznemi, z pracowni p. Heleny Bojko w Łucku — nagrodzone srebrnym medalem Centr. Tow. Roln. — za hafty dekoracyjne. Precezyjne rzeźby w drzewie (na kasetkach) p. Kozłowskiego E. z Włodzimierza, które właściwie nie są z działu igły, ale pod względem techniki nie ustępują pajęczynowej robocie koronkowej, uzyskały medal bronzowy Centr. Tow. Roln. — P. Strońska Marja z pow. włodzimierskiego za hafty Richelieu i p. Bohdanowiczowa Marja z pow. horochowskiego za angielskie hafty nagrodzone zostały listami pochwalnemi W. T. R. — Z zakresu sztuki ludowej, hafciarstwa i tkactwa reprezentowane były powiaty włodzimierski, kowelski, horochowski, lubomelski i zdołbunowski. Powiat zdołbunowski gmina Mizocz wystawiła kilimy o ładnym doborze barw, tkane zapaski, ręczniki i hafty na koszulach; prace zebrane przez p. Marję Dunin-Karwicką ze Stubła. Z tego zbioru zostały nagrodzone hafty na koszulach i tkaniny włoscianki Ulany Tereszczuk — listem pochwalnym Woł. Tow. Roln. — Włodzimierski pow. pod względem motywów ludowego hafciarstwa, prócz kolekcji ks. N. Abramowicza z Sielca, nie wyróżnił się niczem i żadnej nie uzyskał nagrody. — Z kowelskiego pow. włościanka Marja Wakuluk za dobry gatunek płótna otrzymała list pochwalny Okręg. Tow. Roln. — Z pow. lubomelskiego przedstawiona była kolekcja starych haftów i czepców wiązanych z nici lnianych, o różnych wzorach, z gminy Szack i Polmo, zebranych przez znanego etnografa prof. A. Prusiewicza. — Z pow. horochowskiego za tkactwo wzorowe otrzymała list pochwalny Woł. Tow. Roln. włościanka H. Bojarska z Zahajec. — Czwartą kolekcję etnograficzną, prócz wyżej wymienionych, stanowił zbiór kilimów z Chobultowa (pow. włodzimierski) p. E. Kaczkowskiej. — Kolekcja ręczników ks. Abramowicza została zakupiona przez miejscowe miłośniczki sztuki ludowej — p. Brzostowską, starościnę włodzimierską, i p. Robakiewiczową, starościnę krzemieniecką, wspólnie z prof. A. Prusiewiczem; ta ostatnia część trafi do Lwowa do zbiorów etnograficznych. — Reszta eksponentów, włościan, w liczbie 67, za wypożyczenie eksponatów otrzymała drobne wynagrodzenia po 2—3 zł. dla zachęty na przyszłość.

═ Kino na Dalekim Wschodzie. — Sztuka kinematograficzna panuje wszechwładnie nietylko w Ameryce. Rozpowszechniła się bowiem już i na dalekim Wschodzie, zwłaszcza w Japonji, gdzie znajduje bardzo wielu zwolenników. Miesięcznie odwiedza kinoteatry 2 miljony Japończyków.

═ Wrażenia Eskimosa w Nowym Jorku. — Badacz bieguna północnego Donald B. Mac Millan przywiózł do Nowego Jorku z krainy lodów czerwonoskórego, kudłatego Eskimosa, który w ciągu swych 45 lat życia nie widział nigdy większego zgromadzenia ludzi ponad pięćdziesiąt osób, który nie słyszał o automobilu, ani o używaniu wanny — wogóle o wszelkich wynalazkach kultury. Poczciwy Abio Broomfield, przybywszy do zgiełkliwego, strojnego miasta drapaczów chmur, był zdumiony i nie chciał wierzyć swym oczom. Mówił, że opowiadanie o tem, co widział, musiałoby trwać przez całą noc polarną, t. j. pół roku, ale wątpi, czy jego ziomkowie uwierzyliby jego słowom. Zapytany, jak mu się podobają nowojorskie kobiety, odpowiedział: „Myślę, że nadają się na żony, bo są posłuszne i palą tytoń. Piękne są bardzo, tylko strasznie chude! Dlaczego nie dajecie tym ślicznym i bogatym dziewczętom więcej jeść? Ożeniłbym się z którą z nich, ale musiałbym ją przedtem cały rok dobrze karmić mięsem i tranem, aby utyła".

═ Moda krótkich włosów w Chinach. — Wraz z postępem cywilizacji przyszła oczywiście do Chin i moda krótkich włosów. — Stary obyczaj znajduje jednakże jeszcze wielu nieugiętych fanatyków. Gubernator Tjentsinu wydał rozkaz, skazujący na karę śmierci każdą Chinkę, która pozbawi się długich włosów. Czyn ten uważa surowy satrapa za najwyższy wyraz nieprzyzwoitości i obrazę dobrych obyczajów. Biedne Chinki!

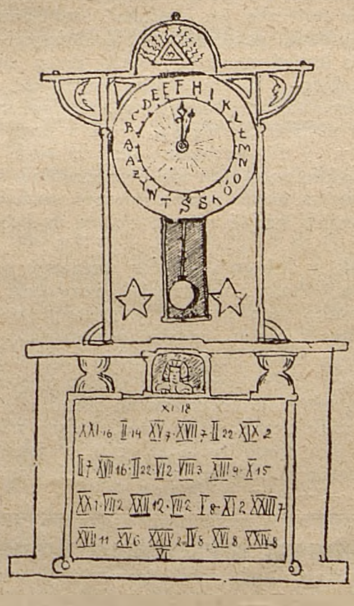
═ Komitet konkursowy „Fanametu" stwierdza, że procent najwyższy pięknych kobiet wykazuje — Lwów! Ale niechże i reszta Polek się nie martwi! „Najpiękniejszemi kobietami w świecie — powiedział amerykański pisarz Savage — byłyby Rosjanki, gdyby... nie było Polek"

*

W następnym numerze „Świata Kobiecego" podamy rozwiązanie zagadek z nru 24, oraz wynik losowania nagród.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

1. TAJEMNICA MASOŃSKIEGO ZEGARA



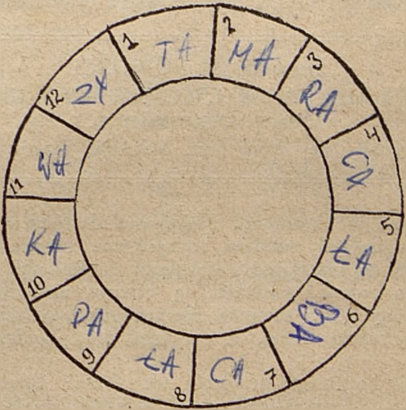
W starym pałacu odkryto zegar z symbolami i cyframi tajemniczemi. Kto rozwiąże tajemnicę tego masońskiego zegara.

2. TRÓJKĄT FILMOWO-SPORTOWY

A A Ą B C E G G I . . . . Polska artystka filmowa
I K L Ł N N Ń . . . . Rzeka w płd. Ameryce
O O O O O . . . . Ptak
O P R . . . . Dopływ Wołgi
R . . . . Spółgłoska

Pierwsze litery wyrazów, ułożonych z tych liter, wedle powyższych znaczeń — dadzą nazwę świetnej drużyny footballowej.

3. ZAGADKA KOŁOWA



W kole na dwunastu polach, znaczonych cyframi 1—12, wpisać sylaby, w każdem polu jedna sylaba tak, aby kolejno parami biorąc, uzyskać następujące wyrazy:

1—2 zapora rzeczna, 2—3 zjawa, 3—4 przyrząd do chodzenia po śniegu, 4—5 dywan ludowy, 5—6 rzadkie drzewo iglaste, 6—7 starszy pasterz tatrzański, 7—8 nietknięta, 8—9 noga u zwierząt, 9—10 skrzynia, 10—11 napój, 11—12 ozdobne naczynia, 12—1 patronka sług.

Trzy trafne rozwiązania niniejszych zagadek zostaną nagrodzone w drodze losowania. Na nagrody przeznacza redakcja „Świata Kobiecego":

1. Lornetkę teatralną.
2. Tuzin jedwabnych chusteczek haftowanych.
3. Półroczną prenumeratę „Ś. K."

ŚWIAT KOBIECY. KUPON Nr 2.

Rozwiązania, zaopatrzone powyższym kuponem, który należy wyciąć, nadsyłać do redakcji (Lwów, Chorążczyzna, 27) w nieprzekraczalnym terminie do 31 stycznia b. r.



DOBRA GOSPODYNI

Przyjęcie dla naszych malutkich. Jakże błyszczą się oczka i jak różowią się buzie, gdy mamusia pozwoli zaprosić rówieśniczków! Tak mali gospodarze jak i goście z radością oczekują ważnego dnia, gdy wolno będzie zabawić się swobodnie, ale w odświętnych sukienkach i takim samym nastroju. — Takie zabawy dziecięce uczą „gospodarzy" ustępliwości względem gości, a tych znów przyzwyczajają do grzecznego zachowania się i panowania nad sobą w obcym domu.

Ponieważ ważną rolę w takiej zabawie odgrywa strój dla dziewczynek a nawet chłopczyków, więc mamusie pozwalają swym maleństwom wkładać ładne sukienki. Dobrze jednakowoż pamiętać, że sukienka nie powinna krępować swobody, a ustawiczna troska o kosztowne lub zbyt powiewne ubranie psuje zabawę. — Najlepiej dać takie, które zniesie wiele, a jest miłe dla oka.

Dzieci potrzebują do zabawy przestrzeni, należy więc usunąć rzeczy niepotrzebne a ulegające łatwo wywróceniu lub zbiciu. W zabawie pozostawić dzieciom swobodę, tylko nieznacznie śledzić je i uważać na nie.

Zabawy, które same wymyślą, najlepiej im się podobają.

Ważną kwestją jest także posiłek, którym częstuje się zaproszoną dziatwę. Jest to zwykle podwieczorek. Zbytecznem będzie przypomnienie, że dzieci przy jedzeniu muszą wygodnie siedzieć i że serwis nie może być kosztowny, gdyż jest narażony na stłuczenie. — Unikać trzeba potraw, przy spożyciu których musi się mniejszym dzieciom pomagać. — Jeśli się podaje np. do herbaty chleb z różnemi dodatkami, najlepiej nakrajać tartinki, przełożyć czemś i nakryć drugą cienką tartinką, przez co unika się zawalania rączek. Nowością dla małych są tartinki kilkakrotnie przekładane i pokrajane w zgrabne kostki. Z słodkich ciastek unikać wszelkich zbyt miękkich albo nadziewanych konfi-

turami, piankami, lub kremami. Najodpowiedniejsze są suche ciastka z orzechami, migdałami, makiem, rodzynkami. Można im nadać apetytny kształt lub wykrawywać zabawnemi foremkami. Dla delikatnych żołądków zimne kremy i galaretki są czasem niebezpieczne. Dlatego wybierać leguminy lekko strawne, niemrożone, ale zachwycające wzrok kształtem i żywością barw, a przytem nie plamiące buzi, rączek i sukienki.

Owoce są niezbędne na przyjęciu dla dzieci. Lecz i tu trzeba rozumnie wybierać i przygotować. Orzeszki amerykańskie, migdałki w łupinkach, rodzynki, figi, orzechy włoskie i laskowe łuszczone, małe jabłka, pomarańcze zgrabnie i estetycznie obrane i rozdzielone, oto owoce zimowe. — Cukierków i pomadek lepiej unikać; dla malutkich dzieci, ze względu na buzię, rączki i sukienkę, także nie dawać czekolady. Zamiast tego, można poczęstować dzieciaki marengami, suchym nugatem, smażonemi orzeszkami, nielepkiemi owocami kandyzowanemi.

Z ciepłych napojów dobra czekolada, lub słaba herbata z mlekiem, z zimnych — oranżada, albo woda ze sokiem. Znakomite są sałatki z świeżych owoców, podane w filiżaneczkach lub szklankach. Przestrzega się jednak przed zbytnią ilością słodyczy, ze względu na niemiłe skutki. Wielką radość sprawia dzieciom, gdy każde dostanie swój przydział w słodyczach w malutkiej bombonierce, którą łatwo sporządzić z kartonu, papieru lub wzorzystej satynki.

Mogą wtedy czerpać z niej kiedy chcą, a nawet zabrać do domu, próżną, czy pełną.

Różne praktyczne i niedrogie przepisy na taką zabawę dla dzieci podajemy niżej.

Czekolada jako napój. Na filiżankę liczy się 2 dkg czekolady. — Utartą czekoladę zagotować z mlekiem, mieszając cały czas i dodając cukier. Jeśli czekolada ma być gęsta i pożywna, ubija się żółtko z cukrem, zalewa je wrzącą czekoladą i pozwala raz zakipieć.

Dobrym dodatkiem jest piana z białek, sztywno ubita, z miałkim cukrem, wymieszana z odrobiną zgotowanej czekolady i nakładana na wierzch czekolady w filiżankach.

Oranżada. Do wody dać kilka kawałków cukru, a gdy się rozpuści, wcisnąć sok z kilku pomarańcz i jednej cytryny. Liczyć na 1 szklankę wody $^1/_2$ pomarańczy i 3 kawałki cukru.

Doskonały nugat ubijany. Zgotować gęsty syrop z $^1/_2$ kg cukru. Ubić 6 białek i zalewać po trochę gorącym syropem, wciąż ubijając. Osobno gotować 2 łyżki miodu do gęstości i dodać do białek z syropem. Ubijać razem na ogniu, dopóki masa nie zgęstnieje, przyczem należy uważać, by się nie przypiekła. Nakoniec wcisnąć sok z $^1/_3$ cytryny, wmieszać $^1/_2$ funta siekanych orzechów i wyłożyć na opłatki.

Marengi w kształcie grzybów. Na 2 białka liczy się $^1/_4$ funta cukru. Białka ubić na sztywną pianę, poczem dodawać po trochę bardzo miałki cukier. — Łyżeczką nakładać małe kulki na woskiem wysmarowaną blachę; taką samą ilość pieńków wyciskać przez trąbkę z papieru na drugą blachę i wstawić do rury niezbyt gorącej, by raczej schły, jak piekły się. — Gdy gotowe, wyjąć, a po ostudzeniu przylepiać czapeczki do pieńków zapomocą rozgrzanej czekolady, którą powlekać następnie cienką warstwą czapeczki.

Można zafarbować masę z białek alkermasem na czerwono i upiec czapeczki muchomorów, które po wysuszeniu nakrapia się białą pianką i wyrzuca po raz drugi; albo zafarbować kawą na kolor blado bronzowy, a wtedy nie potrzeba już powlekać czekoladą.

Tartinki kilkakrotnie przekładane. Z dużego chleba upieczonego dnia poprzedniego krajać cieniutkie skibki przez cały chleb, grubości andruta karlsbadzkiego. Każdą skibkę smarować miękkiem masłem, następnie pasztetem, kiełbasą brunświcką, masłem sardelowem, mieloną szynką, lub inną nadzianką mięsną. — Do przekładania nadają się także miękkie sery. — Posmarowane tartinki kłaść po 4 do 7 jedne na drugie. — Zwykle przekłada się poszczególne skibki z jednakową nadzianką, lecz można wedle smaku mieszać stosownie różne przekładania. Gotowe tartinki krajać ostrym nożem w ładne kostki i układać na półmiski.

Legumina „dzik w śniegu". Na litr wrzącego mleka zasypać $^1/_4$ kg ryżu i gotować na boku, aż się zupełnie rozgotuje, dodając do smaku cukru i małą łyżeczkę masła. — Gdy gotowy, ostudzić i uformować podłużne ciało dzika z głową, oparte na drewnianych nóżkach, pokrytych również ryżową masą. Przy odrobinie zręczności „dzik" doskonale się uda. Gotowego dzika smarować cienko rozpuszczoną czekoladą i naszpikować migdałami pokrajanemi w igiełki.

Otoczyć dzika umieszczonego na dość dużym półmisku pianą z bitej śmietany. W ten sam sposób robi się jeża lub jakiekolwiek inne zwierzę w śniegu; zawsze jednakowy zachwyt wzbudza to u dzieci.

Koszyczki z pomarańcz. Łupy z pomarańcz wykroić w formie koszyczków, potem wybrać miąższ, wycisnąć sok i użyć do kremu, który sporządza się w następujący sposób:

Sok z 6 pomarańcz zmieszać z 15 dkg cukru otartego o łupę z pomarańcz i z 6 żółtkami.

Naczynie stawiać na ogień i ubijać krem, aż dobrze zgęstnieje. — Napełnić nim koszyczki z pomarańcz i podać z biszkoptami.

Ryba czekoladowa. $^1/_2$ kg czekolady utrzeć na tarle, dodać $^1/_2$ kg mączki cukrowej, bardzo miałkiej, zwilżonej lekko śmietanką. Wymieszać z $^1/_4$ kg tartych orzechów i drobno posiekaną cykatką lub skórką pomarańczową smażoną. Trochę wanilji bardzo poprawia smak. Wymieszaną masę nakładać do formy w kształcie ryby, wysmarowanej olejkiem migdałowym, dobrze ugniatać i postawić, by zastygło. Rybę

wyjętą z formy pokrajać w cienkie plasterki uważając, by nie zmieniła kształtu.

Chrust czyli faworki. 1 kg mąki, 2 łyżki masła, 18 dkg cukru, 3 całe jaja, trochę skórki cytrynowej, szczypkę soli i tyle kwaśnej śmietany, by ciasto się zarobiło. Wymiesić je dobrze, rozwałkować, pokrajać kółkiem zębatem na podłużne kawałki, przecinać je w środku wzdłuż i przez ten otwór przewlekać jeden koniec. Rzucać chrust na gorący smalec i smażyć na ładny żółty kolor. Wyjąć, osączyć i posypać miałkim cukrem z wanilją.

Omlet z jabłkami. 2 całe jaja ubić sprężynką z 2 łyżkami cukru na sztywną pianę. Przypudrować 2 łyżkami mąki, wymieszać, dodać trochę skórki cytrynowej oraz 2 lub 3 jabłka, pokrajane w cieniutkie plasterki. Lekko wymieszaną masę smażyć z obu stron na gorącem maśle lub smalcu. Podać lekko posypane miałkim cukrem.

MODA KRÓTKICH WŁOSÓW u kobiet — odsłoniła w całej pełni spustoszenie, wywołane zaniedbaniem higjeny **skóry** głowy. Mycie **skóry** głowy i włosów przynajmniej raz na tydzień jest nieodzownym warunkiem rozwoju włosów. W wyborze środków do mycia głowy zalecamy ostrożność. Polecić możemy z preparatów lekarsko-kosmetycznych: Dr Lustra Shampoon, który odpowiada wszelkim wymogom higjeny włosów.

Legomina z jabłek. Sześć dużych jabłek obranych utrzeć na tarku, wbić 4 jaja, dać 1 tartą bułkę, $^1/_2$ l mleka, 2—3 łyżki cukru, korzenia, łyżkę mąki kartoflanej. Rozkłócić gładko — wypiec w smarowanej, wysianej bułką formie.

Chcąc oszczędzić na jajach, dać ich tylko dwa, a natomiast wsypać $^1/_2$ paczki „bakinu“ Oetkera, przez co legomina będzie pulchniejszą i miększą. Mąki można wtedy dać nieco więcej

Ciasteczka. 14 dkg masła — 14 dkg cukru — 2 żółtka — 1 dkg amonjaku do pieczywa, utłuczonego i zaparzonego małą ilością (półszklaneczką) mleka gorącego, zamiesić z $^1/_2$ l mąki. Roztaczać, wykrawać foremkami, smarować pianą z luźnego białka, obsypać cukrem z makiem i rumiano upiec.

Babka kartoflana. 7 żółtek utrzeć z $^1/_2$ f cukru, z sokiem z pół cytryny — a w końcu z 15 dkg pięknej mąki kartoflanej. Wmieszać pianę z 7 białek, upiec w formie smarowanej — bułką wysianej.

Dołki drożdżowe. $^1/_2$ l mąki — 3 dkg drożdży — 4 żółtka — łyżka masła — duża łyżka cukru — nieco soli — cytrynowej skórki. Rozczynić z trochą mleka, — gdy rozczyn podejdzie, ubić z dodatkami na wolne ciasto.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad kosmetycznych i gospodarskich; w sprawie sztuki indywidualnego ubierania się, urządzenia wnętrz mieszkaniowych i innych; przyczem prosi o wyraźne, czytelne pismo w listach z pytaniami. — Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres. Recepty po 1 zł. — Osobiste odpowiedzi w kwestjach kosmetycznych nadsyłamy po otrzymaniu kwoty 1 zł za każde poszczególne pytanie. — Przy zamawianiu recept kosmetycznych należy zawsze podać rodzaj cery: 1. sucha — 2. tłusta — 3. skłonna do wyprysków — 4. wrażliwa. — Godziny przyjęć w redakcji: 12—13. Tel. red. 48-34.

Dla sieroty. Przedewszystkiem dziękujemy Pani serdecznie za miły i życzliwy list. — Żałujemy, że nie mogliśmy wcześniej odpowiedzieć, przestrzegamy jednak ściśle kolejności listów, a z braku miejsca zaledwie kilka odpowiedzi możemy umieścić w każdym numerze. 1. Kwestja dodatku muzycznego zostanie w niedługim czasie rozstrzygniętą w myśl życzeń Pani. Przygotowania są już w toku i chodzi tylko o uporanie się z pewnemi trudnościami technicznej natury. 2. W sprawie zdobycia pracy trudno nam dać jakąś konkretną a zadowalającą odpowiedź, zwłaszcza wobec ogólnie panującej tendencji do redukcyj we wszystkich biurach i instytucjach. Pozatem, do zajęć, które Pani wymienia, potrzebne są studja rachunkowe. Radzimy Pani zwrócić się do organizacyj kobiecych, które zapewne posiadają informacje o zajęciach dla kobiet ze sfer inteligentnych, a bez fachowych studjów. Na zakończenie dodajemy, że na każdy list imienny odpowiadamy do paru dni.

„Lwowianka“. — Służymy Szan. Pani żądanemi informacjami: 1. Owszem, mamy we Lwowie specjalistę, który wykonywa artystycznie stylowe peruki, jak również nowoczesne we wszystkich żądanych kolorach. 2. Dobiera indywidualnie rodzaj uczesania, mając zawsze na względzie typ urody klientki, z którego usiłuje wydobyć najwyższą sumę piękna. Na jego wskazówkach może Pani polegać, gdyż pracując przez szereg lat w zagranicznych instytucjach, oddawał się specjalnym studjom w zakresie fryzur stylowych. 3. Nowoczesne fryzury studjuje co roku w Paryżu i Wiedniu. 4. Żurnale, o które Pani pyta, posiada w zakładzie. 5. Farbuje wprost niezrównanie na każdy odcień. 6. Dyskrecji przestrzega ściśle. — Adres: Lwów, plac Marjacki, Hotel Europejski, p. Sewezyn.

O Drugim Almanachu „Świata Kobiecego“. Na liczne pytania i wyrażone nam życzenia oświadczamy, że jeszcze do 10 lutego nasze Prenumeratorki mogą korzystać z prawa otrzymania „Almanachu“ tytułem bezpłatnej premji, jeżeli w tym czasie nadeślą nam uzupełnienie prenumeraty półrocznej t. j. aż do 30 czerwca b. r. Prenumerata półroczna (12 zeszytów) wynosi tylko zł 18·—; kwoty już zapłacone na poczet prenumeraty w roku 1927 można z powyższej sumy potrącić.

A. W. — Zapewniamy Panią, że model wybrany przez nas nie prędko wyjdzie z mody, gdyż utrzymany jest w tonie spokojnym, bez jakiejkolwiek ekscentrycznej nuty.

Drobna i owalna twarz korzystnie wygląda w kapeluszach małych. Dużych fasonów trzeba się wyrzec, jak również zbyt strojnego, zwracającego uwagę przybrania.

Do kostjumu granatowego ładnie wyglądałby zawój (wraca do mody obecnie) z materjału wzorzystego, o żywych kolorach. Crêpe marocain, Georgette mają prześliczne desenie. Jeśli Pani chce mieć z jedwabiu lśniącego — to oczywiście również można go użyć i w każdym dowolnym gatunku. Co do koloru — trudno nam zdecydować jaki, na niewidziane. Z granatowym harmonizują: saumon, zielony koloru siana, piaskowy — otóż, w którym z nich Pani najlepiej, ten proszę wybrać. Wybierając zaś żywsze kolory, uniknie Pani „za poważnego wyglądu“.

Opis wzoru na ostatniej stronie okładki:

U góry: Poduszka, haft płaski i wypukły. U dołu: Szlaczek do dowolnego użytku, haft płaski i wypukły.

TREŚĆ NUMERU:

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji (Lwów, Chorążczyzna, 27) miesięcznie zł 3·80, kwartalnie zł 10·50, półrocznie zł 18·—. Numer pojedyńczy 2 zł. — Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem PKO (Konto nr 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście (można znaczkami). Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazet i t. p. (cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów w księgarni i t. p. **miesięcznie zł 3·60, kwartalnie zł 10·—**) lub na poczcie **(cena miesięcznie zł 3·66, kwartalnie zł 10·17).**

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27

Telefon administracji: 4—32. Redaktorka: **Wanda Tomaszewska.** Telefon redakcji: 48—34.

Z drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego